

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

V

W II

Rocznie -
Półrocznie
Kwartalnie
Za odnośne



W skład
wstępujących

1. Ar

2. Dz

3. Dzi

i opowiadania, dotyczące naszej przeszłości.

4. Dzieła popularno-naukowe ze wszystkich dziedzin wiedzy współczesnej.

WYDAWCA

Saturnin Sikorski.

ZA REDAKTORA

Klemens Szaniawski.

Druk. Artyst. Saturnina Sikorskiego, Nowy Świat 47.

Дозволено Цензурою. Варшава, 9 Октября 1897 г.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 3.

TUŁACZE

B. Bolesławity

z przedmową

Adama Pługa.



J. Kraśzewicz.

TOM II.

Cena 25 kop.

W prenumeracie 19¹/₂ k.

WARSZAWA.

Redakcja i Administracja:

47. Nowy-Świat 47.

—
1897.

Edy
(
Harsing
4
up. x.

Have you any more of the same?
Please send me some more!
The more the better...
I shall be glad to receive them.



T U Ł A C Z E.



TUŁACZE.

Opowiadania historyczne

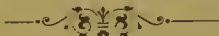
PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

Z PRZEDMOWĄ

Adama Pługa.

TOM II.



Nr 3.

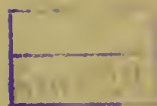
~~HENRYK SIKORSKI~~

WARSZAWA.

Drukarnia Artystyczna

Saturnina Sikorskiego.

47. Nowy-Świat, 47.



Księga VI.

TRENTON—SAVANNAH.

Było to w przededniu wigilii Bożego Narodzenia (1777 r.), tego narodowego święta, o którem żaden Polak u brzegu Delawary nie zapomina.

Pierwsza gwiazda, co się tego wieczora na niebie ukaże, przypomni każdemu młode lata, błogie lata... bo dla nas, im głębiej w przeszłość, tem jaśniej. Pulaski ze swoim oddziałem stał naówczas w stolicy N. Jersey, w Trenton, małym miasteczku u ujścia Sapping do Delawary, w jednej z najpiękniejszych okolic tej części kraju. Miasto wyrosłe z ziemi, jak drzewa i miasta na tym nowym świecie rosnać umieją - - w oczach - - niewielkiem było podówczas, ale to obozowisko człowieka, w półkole pagórkami, okrytemi wspaniałym lasem otoczone, oblane dwóch rzek wspaniałemi wody - przedstawiało obraz wielkiego wdzięku młodzieńczego

Już miasteczko żyło owem życiem zaszczepionem z Europy — a o sto kroków za niem szumiały odwieczne cedrów lasy, lasy jodel, wiązów i topoli kanadyjskich, podszyte akacyami, powiązane sznurami lijanów i wonnych latorośli, zbite jakby do walki z siekierą, która im trzebieżą groziła... Nieraz jeleń, wybiegłszy z tych cieni, stawał nad doliną... patrzył zdziwiony i biegł znów kryć się w ostępy...

To zbliżenie dwóch światów, dziewiczej natury i żywota społecznego, ta cisza pustyni, może nawet klimat, po części przypominały tulaczom Polskę...

Trentończycy mówili im, że czasem zimą Sapping się lodem okrywał, że brzegów Delawary kry się czepiały, że śnieg tu leżał po dni kilka.

W wycieczkach swych myśliwskich Pulaski spotykał zwierzynę nawet jakby europejską: sarny, wilki, zające... chociaż złoty bażant, zaszumiawszy w gałęziach, to marzenie o domu przerywał. Pomiedzy cedrami czarna jodla mówiła o naszych ogrodach i lasach.

Trenton od Pensylwanii dzielił tylko most, rzucony przez rzekę, amerykański most owych czasów, budowa z ogromnych kłoców drzewa, chwiejąca się, zdająca się stać cudem, pełna szczerb, a mimo to przeszło tysiąc stóp szerokie, szumiące przeskakująca wody.

Pulaski ze swym oddziałem miał częste polecenia czynienia wycieczek do Pensylwanii; rzucił się niespodzianie w okolice Filadelfii, ogładzał je, porywał transporty, niepokoił strażę i podrażniwszy nieprzyjaciela, uchodził napowrót do swego schronienia. Te partyzanckie wycieczki bawiły jego, rozrywały Karola, ale upokarzały nieco, bo nie pozwalały żadnym głośniejszym odznaczyć się czynem. Wszystko w nich, jak one, było drobnych rozmiarów.

Leże zimowe w Trenton miały też na celu wprowadzenie karności w te pulki, z których dowódz-

ca chciał zrobić dobrych żołnierzy; ale ciężko przychodziło łamać się z nieokiełznanem przywyknieniem do swobody.

Żresztą to życie na czatach nie ciążyło Pułaskiemu, który odradzał się, siadłszy na koń, uśmiechał się gdy nieprzyjaciela zobaczył, w spoczynku tylko będąc smutnym i zgryźliwym... Karol także dzielił jego usposobienia, i byłoby im tu dobrze, gdyby prócz siebie mieli choć jedną duszę przyjazną. Tymczasem wiemy, jaką niechęcią, zazdrością szpetną i małą, stało ku nim wszystko, co ich otaczało. Oprócz służbowych, innych stosunków z komendą nie mieli, żyli z sobą.

Jedyną pociechą w dniu spoczynku były wzgórza i lasy okoliczne, polowania na ptactwo i jelenie; a choć się na nich czasem i z grzechotnikiem spotkać było można, nie obawiano się go więcej od obozowych towarzyszy.

Nadchodzące dnie świąteczne, u Anglików także obchodzone z wielką uroczystością, Karolowi poddały myśl sprawienia polskiej wili Pułaskiemu. Nosił on się z nią dość długo, dumał, rozpytywał, wreszcie uznawszy możliwość, postanowił tę niespodziankę doprowadzić do skutku. Może i jemu samemu przypomnienie to dla stęsknionego było potrzebne serca.

Tail się w początkach z tem, jak je zwał, dzieciństwem, ale naostatek musiał się zwierzyć Maciejowi, bo bez jego pomocy wykonać się to nie dawało.

— Panie Macieju—rzekł do niego, wszedłszy—mam do was prośbę; gdybyście mi trochę pomódz chcieli, zrobilibyśmy coś, spodziewam się, miłego generałowi.

— Z duszy, serca, wszak wiesz, że ja dla niego dałbym się w kawałki posiekać—tylko mów.

— Jutro wigilia Bożego Narodzenia.

— Prawda! wigilia! mój Boże, u nas to wielkie święto—ale jak się tu do niej przybrać?

— Ja wszystko urządzę, mam już zamówione i ryby morskie z Delawary, jaja żółwie... przyprawy, murzyn nasz ugotuje, ja mu rozpowiem, o ile potrafię, o szafranie i innych sosach. Będzie to piąte przez dziesiąte, ale zjemy na sianie, po polsku i przy gwiazdach... kraj się nam przypomni.

— A! niech ci Bóg płaci! myśl złota... Ale, zkadże ty oplatka weźmiesz?—zawolał Rogowski, zalamując ręce—tu w Trenton, ani księdza katolickiego, ani nic podobnego do oplatków nie ma. A bez oplatka znów, co to będzie za wilia! nie ma wili! bez niego, to darmo! Oplatek się piecze...

— Wiem nawet, jak się piecze—rzekł Karol—bom nieraz widział u nas, jak kapelan piekł oplatki—ale przyboru nie mam. To bieda wistocie... bo oplatka nie wiem, czy dostanę.

— A cóż po rybie z szafranem, jeśli nie będzie oplatka!—dodał Rogowski.

Naprawdę łamali głowy.

Zgodzono się wszakże, bądźcobądź, zastawić wieczerzę z ryb, na sianie, a w kacie snop polski...

Snop! miły Boże... zkad tu nawet było wziąć w Ameryce ów snop polskiego zboża. Gdzie te, co rosną na naszych łąkach: żyto, pszenica, jęczmień. owies, wszystko aż do lnu i tataraki, bo w snopie na wilię nic nie powinno braknąć!

A im tego wszystkiego potrzeba było. by polską macierz przypominało jej dzieciom.

Karol, do spisku wciągnawszy Rogowskiego, latał jak opętany, posyłając starego murzyna, gniewając się na jego omyłki, ale na włos nie chcąc ustąpić ze swego planu.

Rogowski nie brał nic na siebie, oprócz, że miał utrzymywać w niewiadomości do ostatniej go-

dziny Pulaskiego i odciągać go, gdyby przedwcześnie do wielkiej izby na dole chciał zaglądać.

Karol zresztą wszystko wziął na barki swoje. Zdawało mu się, że to przypomnienie ziemi rodzinnej, religijnego obrzędu, dnia, w którym w Polsce z jej zboża upieczonym opłatkiem cały lud się lamie, jak na owych Agapach katakumbowych... wleje pociechę w smutną duszę wodza.

Dom, w którym stali razem, był dosyć obszerny, ale prosty. Na piętrze mieścił się Pulaski we dwóch pokojach, z których jeden był sypialnią, a drugi służył do przyjęcia i pracy. Jadalny dzielił je od dwóch izb, w których mieszkali po żołniersku, prawie bez sprzętów, dwaj towarzysze nieodstępni, Karol i Rogowski.

Obszerna izba na dole służyła na skład rzeczy, pomieszczenie przybywających posłańców i różne nieprzewidziane wypadki. Raz nawet była więzieniem dla wziętych w niewolę Anglików, dopóki ich nie wymieniono.

W tej izbie oczyszczonej, wyświeżonej naprędce, przybranej, Karol urządzać miał swą tajemniczą wieczerzę. Murzyn stary, osiwiały, słynny ze swej sztuki kucharskiej, równie przynajmniej, jak ze swej słabości do rumu – służył za jedynego wykonawcę. Obietnica rumu i sówitej nagrody czyniła go nader usłużnym i uprzejmym. Młody gospodarz pragnął, aby żadnego przyboru, który polską wilię odznacza nie brakło.

Jedną z najnieubłagańszych trudności był niedostatek, jaki naówczas cierpieli; zapasy z Europy wyczerpały się, bo musieli często żyć o własnym koszcie. Karol, co miał, oddał towarzyszom; Pulaski, co mógł, to w pulki wkładał, a płaca nie dochodziła... Były dnie, trudno uwierzyć temu – prawie bez chleba... żyło się o miłosierdziu Bożem i cnocie rycerskiej.

Rogowski ani śmiał się spytać, z kąd się wezmą pieniądze na ucztę... wiedział bowiem, że ich nie było u nikogo.

Karol miał od ojca dany zegarek złoty z łańcuchem, długo oszczędzał go, wahał się, żalował... ale dla wodza ukochanego możnaż było poskąpić ofiary? Poszedł i sprzedał go po cichu... Z tego grosza miała się wilia odprawić.

Szło tylko o oplatek...

Wszystko się dawało albo czemś zastąpić lub ominąć—niedostatek oplatka... był niewynagrodzony.

On właśnie jest znamieniem wili, on jeden starczyłby za wszystko... on mógł być wilią całą, bez niego wieczerza na sianie... ta uroczystą ucztą naszą nazwać się nie mogła.

Już Karol rozmyślał o upieczeniu oplatka, gdy chodząc na zwiady, dowiedział się, że w niedalekiej osadzie, która była jakby przedmieściem Trenton, zwanej Lambertton, za rzeką Sapping, mieszkał ksiądz francuz, który tam w kapliczce, urządzonej w pokoju, mszę dla szczupłej liczby katolików odprawiał.

Nie potrzebowano się taić zbytęcznie z katolicyzmem, ale w czasach wojny, w chwilach rozdrażnienia, wśród większości protestanckiej, fanatycznej, nie chciano się na szyderstwa jej narażać.

Karol siadł na koń, aby dobiedz do Lambertton do księdza... Już był minął ostatnie domki osadników i miał się puścić za rzekę, gdy na drodze zjechał się z obcym, widocznie podróżującym, nieznanym mężczyzną. Był to człowiek młody jeszcze... z podziwieniem Karol spostrzegł na nim, po amerykańsku zrobioną, ale polską taratatkę... Rysy jego nie piękne, ale miłe, łagodne i ożywione, miały w sobie coś tak polskiego, że Karol uderzony i strojem, i twarzą, machinalnie konia powstrzymał. Przyby-

wający do Trenton od Pensylwanii był wzrostu niewielkiego, krzepkiej budowy, twarzy oryginalnością uderzającej... Była w niej energia, siła i wielka dobroć, i wielki smutek... coś obudzającego sympatyę i zaufanie.

Podróżny wpatrywał się też w Karola, którego rysy piękne nosiły także wybitny charakter polski. Stali tak na gościńcu chwilę, naprzeciw siebie—niepewni.

Przybywający siedział na koniu objuczonym i miał z sobą przewodnika. Wszystkich już w okolicy Trenton znał Karol, ten widocznie był gościem z daleka.

Oba mieli pytanie na ustach... Po mundurze poznawszy wojskowego, podróżny wreszcie, przyłożywszy rękę do czapeczki, odezwał się po angielsku.

— Czy znajdę w Trenton brygadiera Pułaskiego? Pan pewnie należysz do jego oddziału, lękam się, by nie był na wyprawie jakiej?

Karol mówił już niezłe po angielsku, po wymowie pytającego poznał w nim cudzoziemca, to go utwierdziło w przekonaniu, że Polakiem być musiał.

Serce mu uderzyło do tego człowieka, sam nie wiedział, jak wyrwało mu się słowo polskie.

— A! Polak! brat! — zawołał ochotczy podróżny. I oba, nie pytając więcej, skoczyli z koni, aby się uściskać... jak bracia rodzeni po długim rozstaniu...

— Co za szczęście! — zawołał Karol.

— Jadę od granic Kanady — rzekł przybywający — umyślnie tu do was, do Pułaskiego, którego poznać pragnąłem... Nazywam się Tadeusz Kościuszko...

— O slyszełiśmy już o was, nawet nimeśmy tu przybyli, w Tulonie. Jakże general rad wam będzie, Bóg nam zesłał we wilię najpożądańszego z gości... Ja jestem adjutantem Pułaskiego, nazywam się Karol Pluta.

— A! nie wiesz — przerwał rozrzuwiony Kościuszek — co to jest po długim poście posłyszec mo-
wę swoją, zobaczyć brata!...

Lza pokazała mu się na oczach.

Spotkanie najdroższego przyjaciela nie uczyniło-
by w kraju na nich obu takiego wrażenia, jak tu
zetknięcie się niespodziane dwóch nieznajomych, ale
krwią i duchem braci... Stali i drząc, ściskali dłonie,
nie mogąc się napatrzeć sobie.

— Co za szkoda, że ja was zaraz do Pulaskiego
zaprowadzić nie mogę — rzekł Karol — ale mam spr-
awę pilną, muszę dojechać do Lamberton... za pół
godziny spodziewam się być z powrotem. Jedźcie
wprost ztąd... a z placu każde dziecko dom Pulaskie-
go wam pokaże, bo go tu znają i imię nawet wy-
mawiać się nauczyli.

— I szanować go! — dodał żegnając się Ko-
ściuszek.

— A któżby, poznawszy go, nie szanował, nie
kochał, nie wielbił! — zawołał Karol.

— No! w drogę, w drogę i co najrychlej z po-
wrotem! — rzekł Kościuszek.

— O! pospieszę pewnie, bo przybycie wasze
dla nas, to uroczystość, jakiejśmy nie mieli!

— A! a dla mnie! widzicie, żem przybył umyśl-
nie, aby swoich zobaczyć, język nasz, tę najslodszą
sercu muzykę usłyszeć...

Każdego wyrazu dźwięk śpiewa mi w duszy
pieśnią młodości i nadziei... Ale dość! dość, na koń
i w drogę...

Karol piorunem popędził do księdza po oplatki.

Tak owa wilia Bożego Narodzenia stała się
podwójnie dniem uroczystym... Pulaski był szczę-
śliwy z przybycia ziomka, którego nie wiedział, jak
ugaszczać i przyjmować.

Został mu ten stary, szlachetny nalóg nasz polski, co z sercem dom i dłoń otwiera, coby krwi utoczył gościowi, byle go jak króla uszanować i dowieść, że mu się nic nie skapi. Ale przy niedostatku żołnierskim jak tu było okazać tę tradycyjną serdeczność?

Zasepil się biedny Pułaski.

Całą resztę dnia tego spędzili jakby w gorączce, mówiąc o kraju, o dziejach konfederacyi, o starych i nowych domowych sprawach.

— Słuchaj, mój Rogowski — rzekł Kazimierz wieczorem, odwiódłszy go na stronę — nasz święty ojcowski obyczaj gościa pobożnie przyjmować... a jeszcze taki gość! nasz! polak! Musimy, bracie, wystąpić... ale jak? Sprzedaj co chcesz, zastaw, pożycz... a trzeba, żeby widział, żeśmy mu radzi.

Rogowski tylko co się z projektowaną wilią nie wygadał, ale sobie języka zakąsił

— Panie generale — rzekł — proszę być spokojnym, ja z Karolem obmyślimy środki a — jakoś to będzie. Tylko co się tyczy jutra... to post i wilia...

— Wilia! a prawda — rzekł smutnie Pułaski...

— Więc jutro... to się jakoś przeołacze, a na Boże Narodzenie ja za luszytk ręczę... dodał Rogowski... Zastawim się, a postawim po szlachecku!

Cała noc niemal zeszła na gawędzie, przerywanej i wiązanej na nowo. Rozchodzono się i, pożegnawszy, wracano znów. Zastawiono wieczerzę, ale mało kto ją tknął, poilo i karmilo żywe słowo. Mówili o Polsce, nagadać się nie mogli. Każdy z sakwy podróżnych pamiątek dobywał, co miał najdroższego, wszystko swoje tak się wydawało zajmującym.

Karol, który powrócił rychło, więcej się przysłuchiwał niż mówił.

Każdy z nich był z innego kąta szerokiej ziemi polskiej rodem, ale uczucia i wspomnienia ich łączyły. Kościuszko litwin, z Brzeskiego, długo żył w Warszawie i na Mazurach, znał dwór, króla, Czartoryskich

i wielu owego wieku ludzi, od których z goryczą w sercu uszedł dobrowolnie. Pułaskiemu śniło się zawsze Podole i Ukraina, trochę kozacza, nieco szlachecka.

Rogowski rodzinę miał w Wielkiej Polsce i Kujawach rozproszoną; Karola ojcowizna była w Krakowskim. Oni razem przedstawiali niemal cały obszar ziem Rzeczypospolitej, która się teraz rozpadala, a szczepiono jej starannie niechęć bratnią, żeby się bujno rozrosła.

Ludzie ci ze czterech kończyn Polski, jakby się w jednej kolysali kolebce — obyczajem, językiem, podaniami, duchem się zrastali.

Późno w noc, gdy już nareszcie szli na spoczynek, Rogowski pochwycić mógł Karola...

— Bracie, dobrodzieju! — zawołał — teraz dopiero tryumf cię czeka, gdy wystąpisz z wilią! Generał sam mnie prosił, zaklinał, ażeby zkąd wziąć, to wziąć, a przyjęcie gościowi sprawić świetne... Ale... powiedźże, zkąd ty grosza dostałeś?

Karol się zarumienił...

— No miałem tam coś — rzekł... to moja rzecz... dosyć, że nie zabraknie, tylko czyście nie wyśpiewali już o wili!

— Uchowaj Boże — nic a nic...

— No, to dobrze.

— Ale czy będzie dobrze?

O ile z murzynem, zamiast mazura, polską wilię można zgotować — odpowiedział Karol, ruszając ramionami. — Co za szkoda, że człowiek nic się nie domyśla, co go czeka! Gdybym był w Skale lepiej się kuchni przypatrywał i przeczytał sekreta z książki matczynej!

— No, jadło tam, jak jadło! zawołał Rogowski, byle przez gardło przelazło — ale cóż z oplatkiem?

— W tem, jak wiecie, była trudność największa — po cichu rzekł Karol — a przecież i to, co nieprzyzwyczajonem się zdawało, zwyciężyłem! Wiecie, że jeździłem do Lambertona, szukając księdza Francuza... Ledwie tam o niego dopytał, ale oznajmiwszy mu się jako Polak i katolik, zostałem dobrze przyjęty. — Przyznał mi się, że był kapłanem i mszę świętą odprawiał. Człowiek to w średnim wieku, poważny, surowy, ale — darujcie mi co powiem, do naszego księdza niepodobny... Pocałowałem go w rękę z radości, przypominając sobie, jak w Skale służywałem do Mszy św. w owej komeżce z niebieskimi wstawkami, która mnie czyniła szczęśliwym i dumnym. Po krótkim wstępie powiedziałem mu, o co go prosić przybyłem; ale mnie nie zrozumiał wcale, obruszył się strasznie i zaczął łajać, sądząc, że niepoświęconej hostyi do jakiegoś zabobonnego żądam obrządku. Ledwie mu zdołał wytłómaczyć, że to jest u nas przez duchownych uznanym zabytkiem prastarych czasów. Zrozumiał mnie nie rychło, gdym już prawie lży miał na oczach, ulitował się w ostatku i tknięty moją wymową, sklonił się dać mi parę opłatków! A! z jakąż pochwyliłem je radością!

— Masz tedy szczęśliwcze — opłatki! krzyknął Rogowski w uniesieniu. — A! będziemy się więc po polsku łamali opłatkiem... Mój Boże! komuż to łez nie wyciśnie!... Kto nie czuje nic... ten... — dodał, bijąc pięścią o stół — ten... psa nie wart! A teraz — szła!

— Majorze... na Boga! tajemnica!

— Zmilczę, dochowam jej! ale zlituj się wystąp jak należy. Jeśli pieniędzy zabraknie... mam jeszcze łańcuszek złoty... zastawimy go lub sprzedamy.

— Niepotrzeba... przerwał Karol... Wy tylko skłońcie generała i gości, żeby z obiadem, wedle wyczaju narodowego i religijnego do gwiazd poczekali...

— To moja rzecz i nie będzie trudno — odpart

Rogowski. - Gość nasz, zdaje mi się, nieco filozof — ale go też katolicka matka karmiła.

- Ale pocciwy człowiek, zgodzi się na wszystko!

Nazajutrz rano dzień po nocy chłodnej wstał dziwnie pogodny i ciepły, a choć pora nie zupełnie przypominała nasz grudzień i było raczej wiosennie jakoś niż zimowo, data 24 mówiła o wilii; przywodziła na myśl wszystkie Adamy i Ewy pozostałe w kraju, i dawne polowania na ponowę śnieżną, i próby szczęścia... i zjazdy rodzinne, i ów stół długi, do którego w tym dniu zasiadało kilka pokoleń, a dziadusi siwy szedł z opłatkiem od najstarszego do najmłodszego, błogosławiąc, całując, płacząc po tych, co do wili zasiedli — z aniołami u Bożego stołu.

Wspomnienia te trochę ochmurzały czoła — ale wstawszy, zeszli się wszyscy, prócz Karola... na górę, i już się rozejść nie mogli.

Bliższe poznanie Kościuszki przywiązywało doń Pułaskiego; dwie te duszy bratnie rozumiały się dobrze, łączyła je miłość kraju gorąca, choć w wyobrażeniach nie zawsze się zgadzali.

Pułaski znał tylko Polskę szlachecką i czując potrzebę reform, opierał je wszystkie na tradycji; Kościuszką był synem XVIII wieku, ale razem dzieckiem Polski; chciał ją odbudować według pojęć epoki.

— Mój panie Tadeuszu — spytał po długiej rozmowie Pułaski — jakeśmy, my konfederaci, wyszli z kraju... to już wiecie; ale powiedzcież mi, jak się to stało, że wy opuściliście Polskę... Co było powodem?

Kościuszką spuścił oczy, zdawał się nieco zmieszany.

— Ja — rzekł po chwili, rumieniąc się — przyszedłem tu z myślą nabycia wprawy wojennej, nauki.

Po dłuższej rozmowie, Pułaski rozrzewniony wstał i natchniony prorocznie, ręce położył na jego ramionach...

Marek wydał wyrok... ja tu kości położę...

Bóg tylko wie jeden przyszłość — przerwał Kościuszko — Samiście opowiadali mi, że X. Marek w początkach wróżył zwycięztwa... a na ostatku... same klęski...

— Tak! ale wiesz, co mi powiedział w Częstochowie... Słowa są wielkie, dziwne, a dusza, z której wyszły, święta... Gdym mu przypominał pierwsze jego proroctwa, rzekł mi: — Tak! prorokowałem zwycięztwa... ale w grzechami swemi zadaliście klam proroctwu i miłosierdzie złamaliście Boże — bogdaj wasze cnoty uczyniły mnie jeszcze raz kłamcą i odwróciły pomstę!

Kościuszko słuchał milczący.

Ja wrócę — rzekł po chwili — tak — Sni mi się Polskę, wiem, że mnie angielska kula nie weźmie... Tu się wojny uczę...

Tak — dodał Pułaski — nauczyć się tu można wiele i tego, co robić potrzeba, jak oni robią, i tego, czego, jak oni, czynić nie należy. Wojsko ich lichsze jest od naszego... ale gdzie u nas takich znajdziemy mężów, jak Washington, Frankin, Jefferson! My jesteśmy mężniejsi może, mamy starego rycerstwa tradycję, u nas szlachcic rodzi się żołnierzem, bawi w ułana, nie umiejąc chodzić, a jeździ konno wprzód niż się czytać nauczyć. W rodzinach naszych jest karność, która się z młodzieżą łatwo przenosi do regimentu, gdy dowódzca chce być ojcem, miłością i powagą — ale gdzież u nas ta ich żelazna wytrwałość, ta wiara w siebie niezłomna w klęskach, chęć ofiary we wszystkich... naostatek...

Naostatek — dorzucił Kościuszko — gdzie u nas ta jedność w narodzie, jaka jest tu? W Polsce mamy jeszcze panów, szlachtę, mieszczan, żydów, lud, wszystko poodosobniane, podzielone. Mieszczaństwo ledwie z pieluch się rozplątuje, niedorośle i zbiedzone; prze-

sądów tysiące.. ludzie różnych rodzajów, a nie ma dotąd — człowieka...

— Po części macie słuszość — rzekł Pułaski — ale wina tego, jak i zasługi przeszłości ciężą na szlachcie; w niej było i jest życie narodu... którem się ona podzielić nie chciała, a obowiązków swych w końcu nie spełniła... Sam jestem szlachcic, wysoko cenię powołanie, które nam dał Bóg, ale wiem i to, że szlachcic godzien tego imienia, winien pamiętać, iż jest z ramienia Bożego wysadzonym przewodnikiem, starszyzną, która ma wieść do pracy, do wszystkiego, co pocziwe i szlachetne. Szlachcic opój, niezdara, klótnik: pan sybaryta a rozpustnik — to klęska i zguba narodu. Powtarzam wam, demagogiem nie jestem, nie będę — za starym na to — po chrześcijańsku widzę we wszystkich braci, po polsku w szlachcie zakon rycerzy... Nie stanie szlachty! nie stane narodu!

— A! panie generale! — przerwał żywo Kościuszko — jam ci też kawal szlachcica... ale czuję, że nam już dosyć tego szlachectwa, i przywilejów, i wyłączości... równości potrzeba... podnieść lud...

— Równości — zawołał Pułaski. — Zapewne, ale gdzież ona jest, mospanie?... i w niebie między aniołami są przecie archanioly i cherubiny — szlachcice...

Trzeba wieków, aby naród zlał się w taką masę; stworzeniśmy nierówno... Szlachta winna, ale ona być musi i spełniać, co na nią włożono...

— Tak było niegdyś — odparł Kościuszko — dziś już tak nie jest i jutro nie będzie. W Polsce też potrzeba społeczność całą zlać i połączyć — połączyć się obyczajami, życiem. — Cóż dziś Polska: to garść wybranych, a nam trzeba mas, tysięcy, milionów, nam ludu potrzeba... Lud jeszcze się u nas nawet nie narodził, jest czerń tylko.

— He! he! — zawołał Pułaski — to są te wasze nowe idee... Masy po staroświecku, gdy ich za potrzebujemy, powinni pójść na zawołanie... ale po-

trzeba je cnotą, miłością, zaufaniem sobie zjednać, obudzić w nich wiarę i umieć prowadzić. A któż poprowadzi, jeśli nie szlachcie?

— Kochany generale — rzekł, ściskając go, Kościuszko — powtarzam wam, ani Franklin, ani Washington, ani Jefferson nie poszczycą się podobno szlacheckimi klejnotami... a oni...

Pułaski zamilkł.

— Inny kraj, inny obyczaj! — dorzucił po chwili.

— Krajowi naszemu też obyczaj zmienić potrzeba — dodał Kościuszko.

Tak uczeń Russa i wielbiciel Franklina, przyjaciel Jeffersona, rozprawiał z konfederatem barskim, w którym tlał duch dawny i żyły tradycje.

Niestety! one tradycje były to szaty naddziadów za przestronne na skarłate wnuki; do instytucji patryarchalnych trzeba było i ludzi patryarchalnych, a w ich miejsce stały zgniłe niedobitki i plewa...

Gdzieniedzie po nad te znikczemniałe tłumy podnosiły się głowy, charaktery, geniusze nawet — ale nie miały dosyć woli i siły.

Ten rozstęp między instytucjami dawnej Polski a ludźmi, co w nich chodzili, od początku XVII wieku coraz widoczniejszym się stawał: nikt nie dorósł do ideału praw dawnej Rzeczypospolitej, a w ręku zepsutych ludzi, ten gmach, co poprzedził tyle budowli, później kleconych, wielkością i pięknnością swą — runąć musiał...

Klonowicza i Wacława Potockiego czytać potrzeba, aby wiedzieć, co prawy polak rozumiał jako szlachectwo...

Rogowski wypełnił zlecenie. namówił z łatwością Pułaskiego i Kościuszkę, aby się z obiadem do gwiazd wstrzymali i zmienili go obyczajem polskim na wieczorz. Oba poklasnęły tej myśli. — Dzień

zszedł szybko, poszli oglądać okolicę nad brzegi Delaware, potem wrócili, nie zobaczywszy, bo nad nią stojąc, mówili o Wiśle i Bugu. Nastęrczała się też sposobność mówienia obszernego i o Ameryce; Kościuszko przybywał od armii północnej; rozpowiadał o niej, o generale Gates, o Washingtonie, mówiono o Francyi, wyglądając od niej posiłków.

Nareszcie przyszedł wieczór; na wypogodzonym niebie pokazał się krzyż południa... coraz ciemniejszy szafir okrywać się począł tysiącem iskier, jakby na ucztę zapalonych... Karol już tylko oczekiwał na ukazanie się gwiazd był w gotowości.

Serce mu biło, jak swawolnemu studentowi, który zamierza splatać ligła... wbiegł do ogródka, po którym się przechadzali i uśmiechając się, rzekł do Pułaskiego:

— Panie generale, wieczerza na stole!

— A! wieczerza! tak!... — podchwycił gospodarz — żartuj zdrów! co mi to za wieczerza w Ameryce! Nie polska to nasza owa wilia braterska, uczta święta, ale... co Bóg dał, chodźmy...

Ujawszy pod rękę Kościuszkę, zmierzał na górę, gdy Karol wskazał mu drzwi na dole.

— To tu — rzekł.

Tu? — spytał Pułaski — cóż to jest?

Tak nam wypadło — odpowiedział Karol...

Wtem drzwi murzyn, kryjąc się za niemi, otworzył.

Salka przedstawiała widok niezwykajny i niespodziany. Naga izba ubrała się świątecznie, sciany jej zawieszane były zielonemi gałęzmi cedrów, jodły i cisów, stół świecił rześisto... okryty białym obrusem, pod którym siana domyślać się było można. W kącie stał ogromny snop zboża, jeśli nie gatunkiem jego, to formą przypominający nasze godło pracy rolniczej.

Stary murzyn w czerwonej koszuli stał u drzwi, pokazując resztę białych zębów... Na talerzach świe-

cila migdałowa polewka z ryżem i rodzenkami. o którą pono było najłatwiej.

Pulaski, jak olśniony, stanął w progu i zobaczył naprzód na talerzu oplatki; odwrócił się do Karola i ze łzami prawie porwał go za szyję, całując.

Pocziwy, kochany przyjacielu... zawołał rozrzewniony — chyba twe złote serce dokazać tego mogło.

Drżącą ręką chwycił oplatek Pulaski i podał go pierwszemu Kościuszce...

Gdy w Polsce rozłamiesz go kiedyś z braćmi, przypomnij mnie i Trenton — rzekł cicho.

Czy Iza nie stoczyła się nań i nie poświęciła — nie wiem.

Milczący, poważni jak kapłani, uroczyscie jak w świątyni, z myślą do Boga wzniesioną, do ludzkości... łamali się tulącze chlebem życia... a myśli ich i serca biegły tam, gdzie do nich także były piersi stęsknione rodziny, braci... przyjaciół.

Tadeusz otarł łzę, przypominały mu się Moraczewszczyzna, Siechnowicze...

Dawno — rzekł — dawno nie kosztowałem takiej rozkoszy, to godło Chrystusa spoilo nas, jak rodzinę. Ze wszystkich polskich obrzędów i uczt to najpiękniejsza, to najuroczystsza, to najwięcej mówiąca do duszy.

Bo też to dzień narodzenia Tego — rzekł Pulaski — który skruszył kajdany świata.

Łamali się oplatkiem, patrząc niedowierzająco, na tę dawno niewidzianą kraju pamiątkę...

Z rozweselonem czołem zasiedli do stołu. Nie-stety! murzyn barszczu z uszkami zrobić nie umiał... zastępowała go polewka.

Inne potrawy, jeśli nie miały smaku naszych, przypominały je przynajmniej z pozoru, murzyn ów (przezwany Mandarynem), czego nie mógł dobrze wyrozumieć. W to kładł jaknajwięcej pieprzu, który w je-

go przekonaniu zdolnym był zastąpić wszystko i omylić podniebienie. Ryby wszakże z szafranem, po żądowsku z patatami i smażone z kapustą palmową wybornie się udaly.

Dobyto parę butelek; nie było to owo *Hungaricum...* *Crocoviae educatum*, ale stare Malaga, Xeres i wina krajowe... Po kilku kieliszkach rozmowa się ożywiła i z toru smętnego przeszła w ową wesołość polską, co nikogo nie kasa, a każdego zabawić umie.

Chwilami jeszcze zadumał się z nich który, ale spieszył posłać dumę za morza... Sypnęły się anegdoty przywiezione z Polski, w które ona obfitowała po wsze czasy, co to je z taką serdecznością, zawieszisto, z miną, akcentem, deklamacją właściwą, tradycyjonalną opowiadać umiano.

Dziś – niema już tych gawędziarzy z profesyi, którzy choćby sto razy powtarzali jedno, zawsze słuchano ich mile; co gdy weszli do izby, już się wszystkie rozchmurzały oblicza; co mieli koncept na wszelką przygodę, komplement w każdym wypadku, a w potrzebie i toast do kielicha i uciniek gładkim wierszem na imieniny.

Pułaski nie był wesół, ale Rogowski w tem celował, a jako ex-konfederat, miał anegdot obfite zapasy. On to ożywiał towarzystwo i wziął na siebie utrzymywanie dobrego humoru. Dokazał tego, że pod koniec uczty twarze i serca się śmiały.

Mandaryn tymczasem biegał z coraz nowemi półmiskami, a zakończył deserem oblitym, rad, że nareszcie sam do jadła i obiecanego rumu dopadnie.

Biesiadnicy pozostali długo w noc przy tym stole, pito niewiele, powoli, ale mówiono dużo.

Późno już ktoś przypomniał obyczaj wilii nasej, wyciągania z pod obrusa siana; miało to podobno znaczenie, iż kto najdłuższą trawę wysunął, u tego najpiękniejszy len miał obrodzić.

Ciagnijmy więc — dodał, śmiejąc się, Pulaski — i będziemy sobie z tych roślin nowego świata prorokowali o żniwie.

W tem sianie z nad Delawary i Sapping były, prawdę rzekłszy, przeróżne rośliny, nie wszystkie do trawiastej rodziny należące. Każdy rękę włożył pod obrus, a co pochwycił, wyciągnął i podniósł do góry.

Pulaskiemu dostał się kwiat jakiś nieznany, zeschły już, na którego lodydze para tylko listków zielonych została.

Rogowski dobył kisc jakąś bardzo długą, w którą się mniejszych dużo wplątało; na końcu jej grono nasionek bardzo przypominało prozaiczną naszą hreczkę.

Karol wyciągnął lodygę zieloną, niemal świeżą, z kwiatami jeszcze niezupełnie zwiędłymi, naksztalt dzwońców.

A pan Tadeusz zdziwił się, znajdując — ucięta młodą gałązkę o liściach laurowych.

Śmieli się wszyscy, niewielkie do tego przywiązując znaczenie, a pan Pulaski rzekł:

— Wam laury, panie Tadeuszu! daj Bóg, byś je zbierał! Mnie się dostało coś zeschłego, czarnego jak ja... i bez życia... taką może pamięć zostawię po sobie. Karolowi jego kwiaty obiecują, że będzie rozkwitał i dzwonił, a dalej pan Rogowski... ty masz czyste i jasne proroctwo, że jeszcze hreczkę siać będziesz na swoim zagonie.

Ale ba! — zawołał Rogowski — co o tem, to mi się nie sni!

— Mnie też o wyprorokowanym mi końcu... zeschlą gałęzią myśleć się nie chce... przynajmniej dopóki mam szkaplerz ks. Marka na piersiach...

Karol zamyślił się nad swoją Campanullą... pobiegł sercem do Skaly... tam obchodzono jej imieniny... a on nie mógł nawet cichem ją rozbudzić życzeniem...

Ale ufał, wierzył, że tam kiedyś z Saracenką powróci, że ona go tam czekać będzie, stała, wierna, niezmieniona. Niestety! Znał świat tylko ze swego pocziwego serca... w które się jeszcze zęby czasu nie wpily...

Pili zdrowia.

A w ostatku owo polskie, owo stare... owo nasze... kochajmy się!

Bez tego symbolicznego kielicha miłości i zgody nie było nigdy w Polsce uczty żadnej

Niech mi kto pokaże na świecie naród, któryby myśl tak świętą, tak wielką zamknął w dwu słowach, bez których nie było biesiady, nie było przyjęcia...

Coś w tem większego jest nad rozpasanie ducha, bo pragnienie świętości, harmonii, braterstwa na ziemi...

Czyśmy się kochali? Bóg osadzi, ale żeśmy kochać pragnęli, uważali za obowiązek, żeśmy na sztandarze tradycyi zapisali to godło, które w sobie mieści całą naukę nową... to przecie coś znaczy... Nie czcze, nie czcze to było słowo!

Wstali wszyscy.

Jeszcze raz ścisnęły się dłonie, ucałowały usta, po tych polskich agapach; każdy poszedł do pościeli nie zasnąć, ale myślą polecieć ku domowi...

Pułaskiemu przed oczyma stał wizerunek bladej, smutnej, z wypłakanemi oczyma a usty uśmiechniętemi do świata, Franusi... w królewiczowski płaszcz, jak w całun, opiętej.

Kosciuszke ukazała się twarzyczka księżnej Lubomirskiej, uśmiechająca się smutnie i błagająca litosci.

Karolowi białe ząbki wyszczerzyła, różowe oplecione usteczka, jego... bohdanka, siostrzyczka.

Pan Maciej Rogowski westchnął też do owej pięknej francuzicy w Rodosto, która serdecznie się splakawszy po nim... poszła za jakiegoś greka.

Wierni kochankowie oplakiwali swych miłości zawód i zdradę... żaden przecie na ukochaną nie rzucił przykleństwa.

Z piersi ich rwały się życzenia:

- Niech będzie szczęśliwą!

Karol... nie domyślał się, ani przeczuwał, że i on może mógł powiedzieć z nimi:

Niech będzie szczęśliwa! nie miałby siły dodać: Choć nie ze mną.

Mandaryn spał znużony z wypróżnioną flaszką rumu na piersiach... Ta go nie zawiodła.

Pułaski żył tylko walką i pracą. Karol zrazu się nią ożywił, ale oswoiwszy się z krajem i położeniem, zateśnił do domu, do tego wszystkiego, co za oceanem zostawił...

Pułaski upajał się sprawą wolności, wprowadzając ład i porządek w nieustannych waśniach z podwładnymi. Niezwykły do hamowania się, gwałtowny, porywczy, gdy mu krew do głowy buchnęła — zawsze jednym sposobem usiłował pokonać opór, żelazną wolą i charakterem. W końcu, struty pasowaniem się z tą uorganizowaną niechęcią, doprowadzony do ostateczności, zmuszony był prosić o uwolnienie od służby.

Rogowski wysłany został z listem do Washingtona, stojącego w Valley-Forge.

Wszyscy dowódcy, którzy byli świadkami trudów i męstwa Pułaskiego, Wayne, przyjazny mu osobiście, przyznawali głośno, że strata takiego generała, pełnego energii i żołnierza niezmierniej odwagi, była niepowetowaną, ale Pułaski cofnąć prośby swej nie chciał. Washington, ścisły postrzegacz prawa, nie mógł znów odwołać niesprawiedliwego wyroku w zajązści z oficerem o samowolę, wydanego przeciw Pułaskiemu.

Stało więc na tem, że aby Pułaskiego nie stracić, dozwolono mu samemu oddział ochotników zebrać i sformować. W Marcu (1778), zdawszy do-

wództwo dawne, udał się Pulaski do Valley-Forge, a na przedstawienie Washingtona, kongres podane zatwierdził warunki.

To nowe zajęcie odżywiło starego konfederata, który natychmiast wziął się do formowania legionu jazdy i piechoty. Jazda miała mu przypominać polskich ułanów, dano im piki i chorągiewki z kolorami narodowemi; Rogowski i Karol, rzuciwszy bez żalu niechętną sobie drużynę rozwałęsanych i rozpasanych rajtarów, poszli za wodzem.

Oddział ten z niemniej różnorodnych żywiołów był złożony, wchodzili doń nawet zbiegowie z angielskiego wojska, ale na wszystkich wkładano warunek ślepego posłuszeństwa, przyjmując. Pulaski nieubłagany był w przestrzeganiu karności wojskowej.

Wiosna 1778 r. nie polepszyła położenia Washingtona i wojsk amerykańskich. Stan był zawsze ten sam, brak najpierwszych potrzeb życia, trudy do znoszenia wielkie, pochody nużące, wyczerpywały najdzielniejszych. Washington, jako wódz, miał nieprzyjaciół, usiłujących go obalić, podkopujących u kongresu, czerniących niepokalany jego charakter... ale znośli to wszystko z wielką prawdziwie duszy potęgą.

Co chwila oczekiwano stanowczego ogłoszenia się Francyi za sprawą Ameryki; na sam odgłos o tem Anglia gotową była do ustępstw, w obawie zupełnej krąju utraty. Stronnictwo pokoju i przejednania potajemnie usiłowało obalić Washingtona ale kongres pojmował swe obowiązki i uwieść się nie dał. Traktat z Francją został nareszcie podpisany, kongres go ratyfikował. Anglia odwołała posła z Paryża... otucha weszła do serc, ale wojna się zapowiadała długa i ciężka.

Mimo świetnych nadziei, wojska ogłodzone, wycieńczone, okazywały zniechęcenie. Wysyłane oddziały wszędzie kraj znajdowały spustoszoną przez

Anglików, obie strony paliły zboża i plantacye, niszczyły magazyny i marły z głodu.

Anglicy, chociaż lepiej zaopatrzeni, bo im flota dostarczała żywności, musieli jednak w końcu po dziewięciomiesięcznem zajęciu Filadelfii opuścić ją i zmienić dalsze plany działań wojennych.

Przeszedłszy w Czerwcu Delaware, udali się do Allen-Town, zagrażając razem Brunświkowi i Monmouth. Washington w ślad za nimi opuścił Valley-Forge i pociągnął, zawsze marząc o stoczeniu walnej bitwy... Zdalo mu się, że korzystniejszą ona być może dla żołnierza, niż wyczekiwanie o głodzie. Część dowodzców odradzała mu jednak, nie chcąc losów kraju stawiać na niepewne szczęście dnia jednego.

Wojna między Anglią a Francją, jak to przewidzieć było można, rozpoczęła się starciem na morzu. Ochotnicy nasi dzielili losy wojsk amerykańskich i ich przykre położenie, żyjąc już nadzieją pomocy Francyi. Tu lepiej zdawały się składać okoliczności, flota admirała d'Estaing, przeznaczona do Ameryki, wypłynęła z Tulonu, nim admirał Byron gotów był w ślad za nią podążyć. Składała się ona z kilkunastu okrętów liniowych i czterech fregat. Burze i cisze przez trzy miesiące opóźniły jej przybycie.

W obawie napaści anglików, d'Estaing nie chciał sił rozdzielać, cała więc ta flotylla płynęła razem i powoli. W nocy zwijano żagle i zatrzymywano się, gdzie mrok pochwycił. Byron był jeszcze daleko.

W Czerwcu stanął admirał francuski u ujścia Delaware, potem popłynął za admirałem Howe, który z flotą swą schronił się w zatoce N. Yorku. Można sobie wystawić radość i otuchę, jaką przyniósł posel Gerard, stając przed kongresem jako zwiastun pomocy Francyi..

Anglia na morzu rozwijała całą swą potęgę, wypowiedziawszy wojnę, zajęła posiadłości Francyi, wyspy św. Piotra i Miguelon, inna część flotylli z N. Yor-

ku puściła się, wioząc wojsko na brzegi N. Jersey. D'Estaing pragnął bitwy, ale burze i wichry przeciwnie nie dopuściły do walki i odwlokły jej roztrzygnięcie.

Kapitan Ferguson, wylądowawszy w Egg Harbour, popalił statki amerykańskie, zniszczył magazyny, splądrował sąsiednie warzelnie soli.

Właśnie, w czasie tego napadu, Pulaski stał z ochotnikami świeżo zaciążnymi, niedaleko Egg Harbour. Anglicy oznajmili Fergusonowi o tym oddziale słabym i odosobnionym... Napaść nocna o mało się nie stała przyczyną klęski strasznej, a dla Pulaskiego sromu, którego by był nie przeżył.

Szczęściem francuz Armand, oficer oddziału, zwierzył wcześniej napad anglików, a męstwo osobiste Pulaskiego, który jak lew rzucił się na nieprzyjaciela nie spodziewającego się oporu — ocaliło ludzi i honor oddziału.

Wojna ta nieustannych napaści, wylądowań niespodzianych, nocnych wycieczek, podejść, a nade wszystko zniszczenia, pełna z obu stron okrucieństw i mordów ciągnęła się dalej ze wzrastającą zajądłością.

Cudownie ocalony oddział Pulaskiego, przeznaczony był do armii Lincoln, który, wzmocniwszy się po stratach poniesionych nowemi zaciągami w południowej Karolinie, szedł przeciwko generałowi Prévost.

W pochodzie przez zniszczoną tę prowincję, którą i Prévost napadał, Pulaski dowiedział się o zagrożonem przez Anglików Charlestown. Dowodził w tej twierdzy przyjaciel jego, generał Mustrie, a milicją Rutledge. Choć nie powołany i bez rozkazu, umyślił się on przedrzeć i przybyć im w odsiecz.

Piękny ten kraj, który przebywali ochotnicy nasi, nosił na sobie ślady najokrutniejszego spustoszenia. Mimo to, lasy otaczające Charlestown, uśmiechały się całym wdziękiem wiosny południa, wonią gardenii i calwii, świeżą zielonością dębów swych i klonów... W opuszczonych ogrodach kwitły drzewa pomarańczowe i róże okryte wiencami... Gdzieś niedługo wśród tej zieleni opustoszały domek zawalony był trupami, które padły ofiarą wywołanej rzezi i okrucieństwa zbuntowanych murzynów. Czarni, poniszczwszy plantacje po odejściu anglików, musieli uciekać w lasy, a wielu z nich, zabranych w niewolę, poszło na wyspy Antylskie. Większa część plantacyj i ferm stała zgłiszczami i pustką, okropnie przedstawiając widoki... Stosy trupów gniły, poszarpane przez zwierzęta dzikie.

Przebywszy lasy, okalające Charlestown. Pulaski dosięgnął twierdzy, której bronili jego przyjaciele. Twierdza główna na Sullivans Island i fort Moultrie napredce z palów yukki zbudowane, zatrzymały go chwilę, bo ich tu serdecznie przyjmowano. Pulaski, korzystając ze zręczności, ułożył był zasadzkę na anglików, ale ta przez nieostrożność jednego z oficerów się nie powiodła. Zabawiwszy tu krótko, szedł dalej oddział dla połączenia się z Lincolnem, przez równie zniszczone okolice.

Toż samo, co spotkali w Karolinie, Anglicy zrobili w Virginii, James River, gdzie opanowawszy miast kilka, zrabowali je, w perzynę obrócili i uciekli do N. Yorku.

Walka była gorąca — często twierdze i pozycje co kilka dni przechodziły z rąk do rąk, jak Stoney Point — stanowiących jednak następstw te utarczki i wybieczki nie miały.

Oprócz murzynów, Anglicy użyli także plemion indyjskich przeciw Amerykanom; okrucieństwa tych mściwych tłuszczy stawały się groźnemi, musiano

i ich ścigać, odstraszać, a po ucieczce palic i niweczyć ich osady, aby choć grozą powstrzymać na wodzy tego nowego nieprzyjaciela.

D'Estaing, szukając na morzu Anglików, spotkał się wreszcie po wycieczce ku Antyllom i zdobyciu wyspy Ś. Wincentego i Granady z admirałem Byron, ale bój ten nie był rozstrzygającym, acz dla francuzów dość pomyślnym. Popłynął potem do S. Domingo. Chociaż instrukcye przepisywały mu powrót do Europy, z własnego natchnienia widząc położenie południowych prowincyj, postanowił przyjść im w pomoc.

Armia genera Lincolna, w której się znajdował Pułaski, przeznaczona została do odzyskania twierdzy Savannah w Georgii, którą od ośmiu miesięcy opanowawszy, trzymali Anglicy.

D'Estaing chciał przyczynić się do jej zdobycia. Wypłynawszy z Cap Français z dwudziestu okrętami i ośmiu fregatami, na wybrzeżach Georgii napadł na kilka statków angielskich. Z pod Charlestown dało znać Lincolnowi o zbliżeniu się floty francuskiej; pospieszył więc zebrać barki większe i czółna lekkie dla ułatwienia wylądowania francuzom.

Savannah położoną jest na południowym brzegu rzeki tego nazwiska, na dość wysokiem wzgórzu piaszczystem. Wzgórza podobne (buffs) i piaski otaczają miasto w prostokąt zbudowane, ciągnące się po nad rzeką.

W tym czasie i znacznie później osada składała się z samych drewnianych budowli, opasanych wałami. Twierdza nawet i jej palisady zbudowane były w większej części z palów yukk, dębów i cedrów; gdyż cegłę musiano sprowadzać z daleka.

Niziny zalane wodą i moczary, na których ryż uprawiano, dzieliły miasto od morza. Od lądu na

równinach czarne lasy iglaste opasywały okolicę, smętne trzęsawiska, pokryte cyprysami, wyżej gęszcze liściastych zarośli splecionych, powiązanych lijanami, obfitujących w cuda południowej roślinności... w cedry, dęby, wiązy, klony, magnolie, dzikie pomarańcze, laury i palmy.

Wśród tej okolicy na pół smętnej, w pół rozzielenionej, leżały wojska amerykańskie, otaczające twierdzę. Przyszły one tu w lecie wśród nieznosnych upałów, gdy skwar w dolinie piaszczystej był nie do wytrwania, a trzęsawiska ziały po nocach febrami i gorączką.

Kraj dokoła był wyniszczony, plantacje strąwane, ogrody powycinane, pola zbite... ledwie gdzieś niedługo dzikim owocem lub ocalałym patatem, zasianym na przeżywienie murzynów, odżywić się było można.

Na stronie zachodniej piaszczystego wzgórza znajdowała się twierdza, zajęta przez Anglików.

Dnia 15 sierpnia Lincoln i posiłki francuskie przyciągnęły do stóp fortecy... W twierdzy dowodził Prévost; na owe czasy była ona dosyć silną. Czując się zagrożonym; miał czas dowodzący wysłać rozkaz, aby rozproszone po Georgii siły angielskie spieszenie się zgromadziły, wzmocnić usiłował pozycję, spędził murzynów, sypał szanice i poprawiał blokhausy.

Zbiegów z plantacji i Indian, gotowych do posiłkowania Anglikom, zebrano się naprędce do czterech tysięcy, załoga wynosiła ze trzy, tak, że razem siedm tysięcy mając ku obronie Prévost, liczebnie silniejszym był od wojsk amerykańskich i francuskich.

W pierwszych dniach, gdy nie był jeszcze całkiem osaczony, Prévost, przybyłym parlamentarzom, wzywającym go do poddania się, nie odpowiedział

stanowczo, prosił o dwadzieścia cztery do namysłu godziny.

Tymczasem resztę ludzi rozproszonych zdołał do Savanny wprowadzić.

Po upływie rozejmu oświadczył otwarcie, iż poddać się nie myśli i bronić będzie do ostatka.

Musiano więc, przeciwko oczekiwaniu, rozpocząć formalne oblężenie i podkopy.

We wrześniu, pracując na skwarze. Amerykanie posunęli się o trzysta kroków od szanów angielskich...

Pierwszych dni października (3) rozpoczęto bombardowanie, które trwało dni pięć bez ustanku i miało obrócić w perzynę, ale Anglicy trzymali się w twierdzy uparcie...

D'Estaing, który się zrazu spodziewał, że oblężenie trwać nie będzie długo, lękając się w powrocie burz jesiennych, gdy i okręta jego stały nieosłonięte na morzu, i spóźniona pora zagrażała — naglił o gwałtowniejsze kroki.

(Choć więc podkopy ukończone nie były, a w łomu w murach nie zrobiono żadnego, admiral żądał szturm.

Lincoln się wahał, inni dowódcy oddziałów nie byli mu przeciwni, Pulawski z natury swej gorącej, będący za pośpiechem i działaniem stanowczym — sądził także, iż śmiały napad mógł się powieść.

Po upartem bombardowaniu, które zniszczyło miasto, domyślać się było można, że straty i szkody osłabiły odwagę oblężonych i nadwyreżyły mury; niespodziany więc szturm mógł ją dać w ręce Amerykanom.

Naprawdę Lincoln chciał jeszcze przeciągnąć oblężenie do ukończenia podkopów i min, któremi część murów wysadzić się spodziewał. D'Estaing był niecierpliwy, pomoc Francyi i jej sztandar ważył na szali... Naówczas jeszcze Francya była ta sluga

Bożą, której dzieje godziło się nazwać *Gesta Dei per Francos*.

Pierwszego października, gdy się jeszcze ważyły rzeczy, a zdania co do szturmów były podzielone, wieczorem wszedł Pułaski do namiotu, w którym Rogowski i Karol spoczywali po całodziennym trudzie... W obozie panowały gorączki, umierali ochotnicy, smutne jakies przeczucia zdawały się wisieć nad wojskiem znużonem, mimo weselości ochoczej, niewyczerpanej, hałaśliwej, którą brzmiał sąsiedni kampament francuzki. Puławski, wszedłszy, jakby roztargniony, usiadł, nie mówiąc słowa. Karol i Rogowski, którzy, znając go dobrze, z twarzy czytali uczucia, spostrzegli w nim jakąś zmianę, był smutny.

Nie śmiano go pytać, bo w tem usposobieniu wolał milczeć, sądzono, że jakaś przekora w służbie, o którą było nietrudno, zniecierpliwic go musiała.

Karol musiał wyjść dla dopilnowania nocnych przygotowań jazdy. Rogowski sam został z wodzem. Siedział tak długo, dając tylko znaki życia, nareszcie wstał, podszedł i nieśmiało się odezwał:

— Coś nam pan generał nieswój, miałożby co zająć niepomyślnego?

— Nie ma nic—rzekł Pułaski.—Cóż być może, o czembyś nie wiedział.

— Trudno się domyśleć, ale to widzę, że coś panu kochanemu jest.

Pułaski wstał i kładąc rękę na ramieniu Rogowskiego, jak był zwykły, szepnął cicho.

— Pamiętasz ty prorocstwo księdza Marka?

— Nie wiem które.

— Gdy mi z błogosławieństwem dawał szkaplerze?

Rogowski spojrzał przerażony.

— A cóż się stało?

— Wczoraj musiał mi się sznurek przetrzeć i szkaplerze... no—gdzieś przepadły... Szukałem ich sam, drudzy także... jak niema, tak nie ma. Rozumiesz ty, co to znaczy?

— Ale co znów ma znaczyć—odpowiedział Rogowski—co ma znaczyć! Szkaplerze się znajdują...

— Nie znajdują się—zawołał Pułaski weselej z rodzajem rezygnacyi mezkiej—niech się wola Boża stanie. Dzisiaj się u kapelana Francuza wypowiadałem i na duszy jestem spokojny... Niech się dzieje, co Bóg przeznaczył. Życia mi nie żal—dodał powoli—nie doczekam nic lepszego dla Polski, boli mnie tylko, że was tu tak samych porzucę... otoczonych tą niechętną gawiedzią... Słuchaj, Rogowski, ty sobie jeszcze dasz radę, ale ten biedny Karol... Pamiętaj, w złym razie, garnijcie się do Kościuszki—on was z tej otchłani wyratuje... Otchłań to wistocie, mnie tu życie obrzydło... tłum... ochotnicy ci... wojsko bez Boga... rycerze bez wiary... żołnierz rozpasany... murzyni, Indyanie, Anglicy... z całej kuli ziemskiej zbierane włóczęgi. Jeżeli mnie niestanie—dodał—nie macie co tu dłużej robić, szkoda was, wracajcie do domu; lepiej siać hreczkę na swoim zagonie, dość by wam tej włóczęgi.

Rogowski milczał długo.

— Co to o tem mówić, panie generale—dodał w końcu—na co te myśli przypuszczać; jeżeli powrócimy, to razem.

— Kto? ja? ów mniemany królobójca?—uśmiechając się i ruszając ramionami, rzekł generał—dosyć mnie tam spotwarzono! Dla mnie miejsca w Polsce nie ma... ladajaki ciur bryzgnie mi w oczy owem królobójstwem... to... Nie! nie! czuję, że mi w tym gorącym piasku amerykańskim kości położyć przyjdzie, a zgubione szkaplerze, to niebios przestroga... Więcej też gotów.

— Szkaplerze! ale ja ich mam dwa—zawołał

Rogowski, rozrywając mundur z piersi.- Generale na miłość Bożą, podzielmy się.

Zlekka go ręką odtrącił Pułaski.

— Nigdy w świecie! — rzekł stanowczo — nie chcę, nie mogę cię pozbawiać tych tarczy niebieskich... one na piersiach twoich zawieszane zostały i z piersią twoją się zrosły... Nademną -wola Boża... nieprzelamana.

Rogowskiemu aż się łza zakręciła, udawał, że nie wierzył w szkaplerze, ale mimowolnie uczyniło to na nim wrażenie.

No, jeśli ginąć, to ginąć... —zawołał—bo ja generała nie odstąpię...

Pułaski go uściskał.

— Uspokój się — rzekł — nikt wyroków niebios nie zmieni. Co ma się stać — musi, nie mówmy o tem... Pamiętaj, że ci Karola powierzam i com ci radził i radzę...

Na tem przerwała się rozmowa, gdyż Karol wszedł z raportem od ułanów... a Pułaski, przy brawszy weselszą twarz, nie dal po sobie poznać, co w sercu nosił.

Pan Maciej był zasepiony.

Następnych dni zaczęło się bombardowanie od ładu i rzeki. Francuzi, spragnieni boju, rzucali się na twierdzę z tą porywcznością narodowi swemu właściwą, która ich prawdziwymi czyni bohaterami. Lenfant, oficer francuski, kilka razy podkradał się pod palisady drewniane twierdzy, mimo gęstych strzałów, usiłując ją podpalić. Zajmowały się, ale prędko gasły, bo drzewo było stare i przegniłe.

W twierdzy, choć znaku osłabienia nie dawali Anglicy, zbiegowie mówili, że znacznie stracono na duchu.

Ta wiadomość przyczyniła się, zarówno z niecierpliwością d'Estainga, do zdecydowania szturmu.. Francuzi byli najpewniejsi zwycięstwa.

Wieczorem dnia 8 października Pułaski wrócił wesół do namiotu z rady wojennej. Oddawna pierwszy raz uśmiechnął się ochoczo do Karola, który stał zasępiiony i calując go, spytał:

— Cóż ty, mój drogi Karolku, jakoś osowiało wyglądasz? Czy ci serce nie skacze? nic nie przeczuwasz? nie wiesz?

Karol spojrzał nań zdziwiony, Rogowski także.

— No, to ci powiem na ucho! Jutro jak świt... przypuszczamy szturm, gotuj się więc, bo postanowiłem jutro lub nigdy Francuzom pokazać, co Polacy umieją i popisać się po szlachecku. Już też tego leżenia pod tą psią budą, bo to nie twierdza... dosyć.

— Jakto? wylomu nie czekając? — spytał Rogowski.

— Wyrąbimy go pałaszami naszymi—zawołał Pułaski. — Ho! jeszczeby ci się zachciało otwartej bramy do miasta! obejdzie się.

Pan Maciej miał drugie pytanie na ustach, ale się powstrzymał. Karolowi uderzyło serce do boju.

— Wolę, że raz skończymy—zawołał—to obozowanie wśród gorączek i trupów, w tym ścisku, najsilniejszego złamie... bić się, to bić.

— Ale nie z murem—rzekł Rogowski—bo muru głową nie przebijesz...

— No—to głowę o mur roztrzaskasz—dodał Pułaski—zawsze dobrze...

O świcie szturm... na godzinę przededniem ma być wszystko w gotowości.

Noc była dosyć pogodna, nie myślano już o spoczynku, siedli we trzech u namiotu i zadumali się wszyscy. Przed nimi cel ów boju stał na jasnym niebie fort czarny, groźny, milczący... Dołem paliły się ognie obozowe... W ciszy nocnej słysząc było

tylko głuchą wrzawę francuskiego wojska u biwaków i szum wezbranej rzeki, a niekiedy krzyk piskliwy ptactwa wodnego, które wielkimi stadami z moczarów na rzekę przelatywało. Pułaski, pomilczawszy, zaczął się modlić, Rogowski jął się krzątać około wyekwipowania, Karol chodził i gotował się też na jutro.

Na spoczynek, który ich miał nieco pokrzepić, zostało ledwie godzin parę, legli tak nierozebrani, aby ruszyć za daniem pierwszego znaku.

Wśród najgłębszej ciszy, noc była jeszcze, gdy obóz już powoli poruszać się zaczął. Rozkazy wydawano półgłosem... ognie umyślnie pogaszono, siodłano konie omackiem... regimenta szykowały się w milczeniu posepnem. dowódcy objężdżali oddziały.

Sam Lincoln kilka razy przesunął się konno, aby obejrzeć, czy wszystko jest w pogotowiu, największą bowiem wagę przywiązywano do tego szturm, który miał być stanowczym...

Brało się na brzask, gdy cichy rozkaz ruszania, jak szmer przeleciał szeregi. Pułaskiemu przywiedziono konia, miał siadać, gdy nastroczył się Rogowski, uścisnęli się milczący, rozrzewnieni oba. Karol już był na siodle, generał podał mu rękę, uścisnął ją, zdrząły dłonie, ale słowa do siebie nie powiedzieli.

Chwila przed bitwą jest zawsze godziną uroczystą... W milczeniu ruszyły wojska powoli; niewielka stosunkowo przestrzeń dzieliła je od fortecy. Do przypuszczenia ataku obrano część jego, która się zdawała najslabszą, bastyon zwany Ebenezer na Spring Hill.

Mrok gęsty okrywał okolice, gdy pierwsze działa zagrzmiały, a twierdza, jakby czuwała i była

przy otowaną, natychmiast zażywnym ogniem odpowiedziała.

Z gorączką wielką pułki amerykańskie i francuskie rzuciły się przeciwko murom i palisadom; spodziewano się ubiedz Anglików nieprzy otowanymi ale czy skutkiem zdrady, czy ostrożności, nieprzyjaciel okazał się gotowym do odporu.

Na czele Francuzów, z mężstwem godnem swego narodu, zedł sam admirał d'Estaing, amerykańscy generalowie, nie dając się ubiedz współzawodnikom, z zapalem wpadli na bastyon. Zdawało się, że temu uraganowi ludzi nic oprzeć się nie zdoła.

Wschodzący poranek oświecił bitwę zaciętą okrutną, z obu stron rozżarta jakimś uczuciem plemiennej nienawiści. Francuskie oddziały miotaly się jak burza i po trupach rwały na mury i wały, ale za każdym razem ogień Anglików z wielką stratą ich odpychał, a trupy nowe świadczyły o mężstwie, z jakim szli nieustraszeni...

Pułaski czekał rozkazów, dotąd nie był jeszcze w boju, i już go to niecierpliwiło, gryzł wąsy.

Dzień się robił, gdy zżymnawszy się z gniewem, spał konia i pobiegł sam do Lincolna.

W tej chwili prawie z twierdzy, jak chmura nawalna, wysypali się Anglicy, czyniac zuchwała wybieczkę.

Chcieli oni słabnący widocznie atak odeprzeć stanowczo wstępnym bojem i czerwony zastęp potoczył się po piaszczystej dolinie.

— Generale — zewołał, podbiegając, Pułaski, który oka twierdzy nie spuszczał. — To chwila albo żadna, do śmiałego, decydującego kroku! Widzisz lukę otwartą pomiędzy temi dwiema bateriami... to droga, która ja z moim oddziałem wpadnę pomiędzy twierdzę a Anglików i odetnę ich od niej. Któż wie, może mi się udać nawet wpaść do miasta! do twierdzy! Już raz dziś na okopach nieprzyjacielskich po-

wiewała francuska chorągiew. Sam ją widziałem, ale te siarczyste francuziki zdobyć umieją, utrzymać nie potrafią.

Lincolna, który był bardzo sposepniał, gorąca mowa Pułaskiego odżywała.

— Wycieczka to niebezpieczna — rzekł — możesz wszystkich ludzi stracić... baterie we dwa ognie cię wezmą, anglicy się zwrócą na was...

— Padnę, jak piorun... — zawołał, podnosząc szablę, Pułaski — rozkazuj, pozwól... a twierdza nasza!

— Czyń, jak chce z... niech Bóg błogosławi — ale...

Reszty już nie słyszał Pułaski, dał koniowi ostrogę i popędził do oddziału. Stał przed frontem jego z szablą obnażoną, ognisty, natchniony, jakby już opromieniony tryumfem.

— Bracia! — zawołał — za mną... idziemy w ogień, ale my zdobedziemy twierdzę... za mną! komu honor miły!

Oddział, z którym szedł Pułaski, składał się cały z dwóchset koni, ale w istocie bardzo dobrego ochotnika. Oficerowie, jak Pluta, Rogowski, Armand francuz, przyjaciel Pułaskiego i przybyły później Jerzmanowski, wszyscy się odznaczali odwagą i krwią zimną w boju...

Widok walki rozpoczętej bez nich, godzina bezczynności podnieciła i w żołnierzu męstwo do najwyższego stopnia. Zazdrościli francuzom ich nieustraszonej odwagi i nie raz, ale po dwakroć zatknętego na okopach sztandaru.

Gdy głos Pułaskiego dał się słyszeć, cały oddział, jednym duchem natchniony, jako mąż jeden rzucił się wskazaną drogą. Wódz leciał przodem...

Ale drogą nazwać nie godziło się przesmyku, którym się puścili... była to wązka luka wśród okopów, rowów, zawalona trupami, zryta kulami, przez

którą przedzierać się było potrzeba. Oddział szczupły jazdy georgijskiej rzucił się za Pułaskim w tropy.

Zrozumieli wszyscy, widząc anglików wycieczkę, że myślą Pułaskiego było po za nimi wdrzeć się do twierdzy i miasta.

Są chwile w życiu i boju, które spotęgowują człowieka; czuje on w sobie naówczas siłę niezłomną, piersiąby gruchotał mury, szablą platał olbrzymy, tchemby obalał szeregi.

Rozum nim już nie kieruje, głowa się pali, serce bije, szal ogarnia -- a śmierć niknie z oczów, jak gdyby męztwo dawało nieśmiertelność.

Z taką wścickłością i żądzą, w szalonym pędzie cwałem rzucili się ochotnicy ku twierdzy -- oddział toczył się ściśnięty, zbity, na czele z podniesioną szablą Pułaski, tuż obok, osłaniając go, Pluta i Rogowski. Chwila tego prądu niepohamowanego była niestety, krótka. Z bastyonu zagrzmiały działa, ostatni jeźdźcy wparli się na poprzedzających, cisnąć i prac jakby na żelazną zaporę... bo pierwszy szereg został wstrzymany nagle... Pułki zmieszały się w jeden kłęb, w jedną nieforemną masę, ludzie i konie... trupy i żywi.

Na przedzie kolumny wódz leżał obalony z koniem... a wkoło mrowie anglików...

Rogowski, który go nie opuścił, i Karol, oba odcinali się już napastnikom pod kul gradem.

Pułaski, oparty na łokciu, wskazywał jeszcze jedną ręką twierdzę, gdy drugą cisnął pierś, z której buchała krew. Nogę miał urwaną od działowej kuli.

Rogowski schylał się, aby go podźwignąć, gdy karabinowa kula z okopów zryła mu czaszkę i obalila z konia, zbroczonego obok wodza. Wstrzymany w ciasnem przejściu oddział, dogodnym był celem wystrzałów, kule sypały się gęsto, niektórzy z ochotników tyl podali, mała garść skupiła się około Pułaskiego, który głosem osłabłym wołał jeszcze:

Forward!

Ale już zewsząd ustępowały wojska pod ogniem fortecy, Francuzi nawet z rannym kilkakrotnie admirałem d'Estainem cofać się zaczęli.

Karol z Jerzmanowskim, Armandem i kilku ludźmi, porwawszy rannego śmiertelnie Pulaskiego i bezprzytomnego Rogowskiego, pod zasłoną pozostałej kupki, która ich otoczyła... zwrócili się nazad ku obozowi...

Pochód to był żałobny ludzi bezprzytomnych, zgniecionych, idących machinalnie... gdzie ich już wiodł tylko instynkt zachowawczy. W milczeniu rzucał po sobie oblakanemi oczyma; gniew, zniechęcenie, żal walczyły w ich piersiach z sobą.

Pulaski dogorywał... doniesiono go żywym jeszcze do namiotu i złożono na tem łożu, z którego już nie miał powstać. Chwilami omdleł całkiem, to zrywał się, chwytal za piersi, rękę podnosił i niezrozumiałemi wyrazy zdawał się jeszcze chcieć zagrzewać do walki.

Najbliżsi nawet już słów jego zrozumieć nie mogli... wkrótce też siły opuszczać go zaczęły, myśl płatać dziwnie.. widocznem było konanie ciężkiego człowieka, który ma jeszcze w sobie całą życia potęgę i nie chce poddać się śmierci... ale ciało poszarpane stygło, krew ubiegała

Resztką mocy przeszła w gorączkę i marzenie... jakby senne...

Dwa ciała zbite leżały obok siebie tam, gdzie przed chwilą, razem gotując się do bitwy Pulaski i Rogowski... Karol, klęcząc u łoża wodza, trzymał drżącą dłoń i starał się ostatnie zrozumieć rozkazy...

Ale dziwnie się one mieszały, wylatując z ust niedokończone... bez związku... Była w nich Polska, wspomnienia i imiona drogich osób... myśli niepochwyczone, obrazy jednym słowem napiętnowane... przerywane modlitwą i oburzeniem, żalem i miłością.

Francuski chirurg, wezwany do rannego, przyszedł tylko, aby wszelką odebrać nadzieję.

Pierś była strzaskana, noga — została na pobojowisku, krew nie przestawała upływać.

Resztką już tylko życia błyskała chwilami, otwierały się konwulsyjnie powieki nad oczyma, coraz bardziej zamglonemi, ścisnęły się ręce niespokojnie... aż po tych wybuchach gorączkowych, pasującej się ze zgonem duszy, nadeszło odrętwienie śmierci, ciało stygło... oddech ustał... żółta bladość, okrywająca twarz, oznajmiła Karolowi, że wódz jego, brat, przyjaciel, opiekun — nie żył.

Takim był zgon tego człowieka, któremu przeznaczenie dało najszlachetniejszą duszę na to tylko, by cierpiała niewdzięczność od swoich, potwarze... a potem bóle i tułactwa.

Gdy Rogowski, ranny ciężko kulą, która mu z czaszki skórę zdarła, po kilku godzinach nieprzytomności przyszedł znów do zmysłów — po twarzach Karola i otaczających go towarzyszy poznal, że ukochany wódz już nie żył.

Żałoba oblokła ich wszystkich... czuli się bez niego sierotami: bez niego Ameryka, wojna, sława, przyszłość świetna nic ich nie obchodziła. Rogowski płakał, jak dziecko, Karol stał, jak posąg, zmartwiały i znękany.

Żal powszechny w całym obozie ulżył może ich strapieniu przekonaniem, że umiano ocenić wielkiego męża. Lincoln, Wayne, Washington ciężko byli dotknięci stratą człowieka, którego energia za pułk często starczyła, podwajała męztwo w żołnierzu, obudzała współzawodnictwo, była bodźcem i przykładem...

Do smutku powszechnego przyczyniało się też niepowodzenie tego szturmu, który na wielkie naraził ich straty. D'Estaing, sam ranny, nie doliczył się siedmiuset ludzi, czterechset padło z wojsk Lincoln'a.

W kilka dni potem admirał, zmuszony odpłynąć, począł czynić przygotowania do powrotu i amerykanie ustąpili z pod Savanny.

Od dnia tego, w którym ciało bohatera złożyli musiano w amerykańskich piaskach na brzegach Savanny, Rogowski i Karol myśleli tylko o powrocie. Pierwszego rana czyniła na długo niezdolnym do boju, drugi tłómaczył się sam przed sobą, że wraca spełniając rozkaz Pulaskiego i dla opieki nad rannym... W początkach jednak, nie śmiejąc się przyznać do myśli wspólnej... czekali pierwszej zrzeczności, aby się wzajem wyhadać. Rogowskiemu łatwiej było począć mówić o ranie, o potrzebie spoczynku, o tęsknocie do kraju; Pluta nadszpodziewanie mu zawtórował zgonem, a gdy raz postrzegli, iż jednego pragną, wykończenie przyspieszono.

Pluta w imieniu obu udał się do Lincolna. Prochno zachęcał ich do pozostania, obiecując im złotą górę... Karol składał się raną Macieja i niepodobieństwem opuszczenia go. Podali się więc razem o uwolnienie. Szło tylko o to, ażeby nadejść mogło, nim by flota admirała d'Estaing odpłynęła. Dla pośpiechu Pluta sam, z jednym przewodnikiem, puszcza mi i błotami przedarł się do głównej kwatery Washingtona... On mu pierwszy przyniósł smutne wieści o klęsce pod Savannah i Pulaskiego zgonie... prawdziwie bohaterskim.

Chociaż i Washington i Kosciuszko, którzy i Karol tam znalazł, starali się ich powstrzymać — postanowienie było niezłomne; odebrali uwolnienia i Pluta. pożegnawszy przyjaznych sobie, odprowadzony przez Kosciuszkę, pospieszał dniem i nocą, ażeby stanąć na czas dla zabrania się na okręt francuski... Mieliby oni obietnicę admirała d'Estaing, iż przy jego boku podróż do Europy odbyć będą mogli.

Dnia dwudziestego ósmego października byli już

na pokładzie statku, który wiatr pędził od nowego świata napowrót do starej Europy, do Polski.

Tak dla Karola Pluty skończyła się pierwsza epoka jego życia.

Powracał z silami młodości, w pełni życia, przecierpiawszy wiele, zahartowany, a w sercu tak świeży, młody, dziewiczy, jak był wyjechał ze Skały — wracał ze wszystkimi swymi marzeniami, spotęgowanymi rycerskimi przygody, które mu się jak sen piękny wydawały.

Błogosławieństwo matki, opieka Boża, wśród tego świata pełnego zepsucia, płochości, zgorszeń, wszystkiego, co palne materyały młodości podżęgać może — zachowały go nieświadomym złego, głuchym na nie, obojętnym na to, co z poezją duszy jego nie dźwięczało zgodnie i harmonijnie...

Gdy stopą dotknął tego pokładu, po nad którym powiewała bandera Francyi, zdawało mu się, że za chwilę już... będzie w ojczyźnie... rosła niecierpliwość, żądza widzenia swoich, przyciśnięcia do piersi stęsknionej rodziny... krewnych, przyjaciół... znajomych i nieznajomych a braci. Przed oczyma bez ustanku przesuwały się dziecinne, młodociane wspomnienia, obrazy tej Skały, którą był pewien tak zastać, jak ją owego pamiętnego odjechał wieczora.

Tę ciężkie lata tułactwa zdawały mu się godziną jedną.

Nie przypuszczał nawet, ażeby nieubлагany czas wykruszył co z tego marzenia... zniszczył tę cudną całość rodzinnego dworu... Nic go nie przygotowywało do zawodu... serce nie przeczuwało... myśl roiła tylko radość powrotu i serdeczne, rozrzewnione przyjęcie'

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

CZĘŚĆ DRUGA.

...

Księga VII.

P O W R Ó T.

W Karola duszy malował się smętny dwór w Skale, nie przypuszczał tylko, ażeby wypadki coś z tej całości, z gromadki tej oderwać, odmienić w niej miały...

Tam dla niego zawsze dziaduś siedział w swoim krześle, ojciec się z łaską przechadzał, matka modliła i Ewusia ku niemu patrzała okienkiem.

Spodziewał się, jeśli nie szczęścia tam, bo gdzież ono mogło być — to przynajmniej wytchnienia, spoczynku. Myślał nieraz o tem, jak im przy wieczornym kominku Pułaskiego i swoje przygody opowiadać będzie.

Wracał chciwy i spragniony powietrza domowego, pełen marzeń młodych...

Po drodze, ani na swe listy odpowiedzi, ani twarzy znajomej, ani znaku życia nie pochwycił...

Dziwny traf zdawał się usuwać z tej drogi wszystkich i wszystko, coby mu wieść, pocicchę przynieść mogło.

Spieszył się tem więcej, tem goręcej, że głucha cisza ta podwajała w nim niecierpliwość oglądania ukochanych... a myślą leciał przed siebie... malował sobie obraz powrotu, usta mu się śmiały. oczy za chodziły łzą.

Biegł już tak w końcu, że nawykły do trudu, do pochodów, do wypraw awanturniczych i wojennych wycieczek, czuł się jednak złamanym... Może nie tyle tą nagłą podróżą bez odpoczynku, co burzą i nawałnością, rozbijającą mu piersi...

Tęsknota i niepokój rosły z każdą chwilą. Zrazu rozpytywał nieznajomych, chwytal się ludzi, których twarze mu coś przypominały... łakomy wieści, wzywał ją — potem, nie otrzymawszy nic, nie dowiedziawszy się o swoich... biegł już co prędzej, nie badając nikogo.

Była noc wiosenna, ale piękniejsza nad tę młodą jeszcze i nierozkwitłą, w której Skalę opuścił. Łasy obchodziły wesele kwiatów i woni, czeremchy ugiwały się białymi kity ku ziemi, brzozy zdawały się schylać, aby balsamem zapachów zrosić rodzicielki łono... na polach rozścielały się szyte złotem kobierce, łąki zasiane pasy różnobarwnymi ubierały się każda inaczej, wszystko razem składało się na uroczysty poranek roku, który mówił wonią swą, przepelniającą powietrze, o młodości, o szczęściu...

Wszystko wyglądało godowo, pięknie, a po amerykańskich puszcach i stepach tak skromnie, miło a swojo. Karol naglił a pędził konie, chciał już dojechać choć nocą i rozmodlony u progu błogosławnego doczekać brzasku szczęśliwego dnia powrotu... Wystawiał sobie, jak dziaduś wyjdzie może w ganek

od ogrodu i jak niespodzianie on padnie przed nim na kolana...

Drogi były mu dobrze znane, nie zapomnial nic, witał się z drzewami, z krzyżami pochylonemi od starości, z każdym omszonym kamieniem, który zasnął u gościńca przed wieki...

I dziwił się sobie, że mimo lat tylu, tak dobrze wszystko pamiętał, i cieszył się, że tu się tak nie nie zmieniło. Zerwany na chwilę pomiędzy nim a światem tym związek serdeczny na nowo ich łączył... Uroczyste było powitanie - z ulicy starej ujrzał już w dali dwór w Skale... Świeciło się w nim jeszcze, ale nie tak jakoś, jak bywało we dnie powszednie; blaski lały się z okien wszystkich, jasno było we drzwiach nawet.

Może kto zdradził powrót Karola i czekano go na progu, jak marnotrawnego syna z powitalną uczta?...

Może... gubił się w domysłach. -Znając owo ciche a jednostajne życie w Skale, trudno było odgadnąć znaczenie tych spóźnionych świateł nocnych... tego rześistego blasku... Karol się zadumał.. serce mu bić zaczęło żywiej, konie się wlokły powoli znużone, wyskoczył z wozu, nie mogąc wytrzymać i--poszedł.

Jeszcze nigdy nie biegł tak w życiu, a tak się nie czuł lekkim...

W dziedzińcu... gwarno było i tłumno... pełno i ludzi i koni... Przez okna szeroko roztwarte, z za przezroczystych firanek blask bije i słyhać muzykę wesolą, a śmiechy, jak ptaszki, wylatują na ciemne podwórze...

Co to było... nie śmiał już spytać nikogo, jak stał w podróźnej, zawalanej, opylonej odzieży... tak postąpił niepoznany i niepostrzeżony do progu.

Sieñ zastał sług i ludu pełną... w niej stągwie z piwem dla czeladzi, która je wychylała kuflami, śmiejąc się i swarząc...

Ani jednej znajomej twarzy, ani domowych, ani slugi... świat jakiś nowy, inny... cudzy.

Karol rozglądał się, strwożył, poczuwszy się obcym i wśród tej wrzawy i hałasu stanął zmartwiałym na progu.

Wszystko, co go otaczało, inne było, niż przed laty... Młode twarze, inna mowa... wesele jakieś szalone... osłupiały spartł się o ścianę, poglądając w koło zdumiony... w głowie mu się płatało, nie śmiał jeszcze, jak widmo z grobu wstające, wniknąć i nagle im się ukazać w pośród tej jakiejś uczty, która dla niego była zgotowaną.

Kiedy niekiedy — przez ramy drzwi otwartych przesuwają się przed nim pary strojne... lica rozjaśnione... usta w perlowych uśmiechach, głowy w zielonych wiankach.

Ale gdzież starzy! gdzie swoi? — gdzie dziaduś, gdzie ojciec i matka, czemu nie widać nikogo?... sami obcy... sami przybysze.

Drżał już, dopiero tu przy dźwięku tej muzyki ochoczej, błądy przestrasz i zgroza rzeczywistości ścisnęły mu serce...

Stał tak wryty, niemy, drętwiejący, gdy krzyk go rozbudził, poczul rękę zimną, która chwyciła dłoń jego, rękę drżącą, starą, kościstą... a głos bojaźliwy obił się o jego uszy.

— Karol... to Karol! z tamtego świata... O Boże... Czy mnie oczy mylą!

Mimo lat, które go przygniotły, przychodzień poznał w tym człowieku, który się doń zbliżył, rotmistrza Porembę... Ostatni, co go przed laty w Ska-

le pożegnał, dziwnem zrządzeniem pierwszy witał tułacza... w progu—niegdyś rodzicielskiego domu.

I przez chwilę, mierząc się oczyma, milczeli... ale dłoń rotmistrza coraz mocniej drżała... a ciągnęła.

— Chodź! na Boga! chodź pan! chodź niepostrzeżony... idźmy ztąd...

Dokąd? po co? — zapytał Karol -- ja muszę...

— Pan musisz naprzód pójść za mną... chodź, na miłość Bożą, a dowiesz się, dlaczego.

Wśród tego tłoku nikt na nich nie zważał, przecisnęli się przez tłum ciekawych, który się u drzwi gromadził... Karol nie wiedział już jak szedł, zimny pot oblewał mu skronie, strach serce ogarniał... a jednak jeszcze tłumaczył sobie natarczywość Poremby, jego łzawe oczy tem, że starych... nie godziło się tak nagłem ukazaniem się przerazić...

Znać listów jego nie poodbierali i nikt się powrotu nie spodziewał.

Tak znaleźli się, przecisnąwszy, w dziedzińcu, i milcząc szli, mijając wozy gwarne gości, aż do ciemnej oficyny, stojącej na uboczu w czarnych drzewach. Tu słowiki tylko nuciły pustkom...

Rotmistrz Poremba nie poprowadził go do dawnego swojego mieszkania, ale do malutkiej narożnej izdebki, dawniej niezamieszkałego składu starych sprzętów... Teraz z jednego do drugiego a coraz lichszego sypchany mieszkania... tu się znać dostał stary rezydent, sprzęt złamany, nimby go wyrzucono na podwórze lub wywieziono na cmentarz...

Po świeżych woniach nocy majowej wiało z tego kąta stęchlizną nędzy, starości i śmierci... Całym sprzętem dworzanina na łasce, gracyalisty... było łóżko pokryte wełnianą kołdrą starganą i pusta niezamknięta skrzynia... nie było jej po co zamykać... Na stoł-

ku drewnianym stał dzbanek, w kącie oparta o mur, wyszczerbiona misa... Na stole mały łożowy ogarek zapalił Poremba... potem jedyne siedzenie starłszy połą, w milczeniu podsunął je Karolowi.

Stali, patrzyli na siebie łyży połykając i ust nie śmiejąc otworzyć. Ten pytać się obawiał, ów nie chciał počząć opowiadania... płakał tylko i coraz łyż ocierał...

Nie był to już dawny ów rotmistrz, wesół, wygadany, rubaszny rezydent, najedzony i swobodny... pewien, że go zawsze powitają uśmiechem... ale okrucich człowieka o głódzie oczekującego śmierci... łykający się, aby go na śmiecie nie wyrzucono dla lokajskiej fantazyi.

Gdy Karola zobaczył i poznał, stał w sieni w szarej kapocie ze sługami zmieszany... czyhając, by dostać może z nim razem szklankę kwaśnego piwa..

— Na Boga, kochany rotmistrzu! — zawołał wreszcie Karol — ocierając pot z czoła, a może łyż z oka — dlaczego mnie wstrzymałeś? po coś mnie tu przyprowadził? Co się tam dzieje? jaka to uczta? co to za ludzie?

— Pan więc nic a nic nie wiesz? — grobowo, powoli—spoglądając nań z obawą, zapytał Poremba.— Jakto? pan... nic nie wiesz?

— Ale ja powracam z drugiego świata! — rzekł Karol — ja się spieszyłem, pędziłem, leciałem... nikogom nie widział, nie mówiłem z nikim... nie wiem nic...

— Nic? — zawołał rotmistrz, łamiąc ręce — on nic nie wie?!

Głowa mu ciężko na piersi opadła.

Ale mówże, co się stało? — krzyczał przerażony Karol.

Na to pytanie długie tylko milczenie grobowe złowrogo mu odpowiedziało... Stary dworak, przyjaciel rodziny i domu... powoli zsunął się na podłogę, ukląkł, zasłonił oczy, płakał i modlił się, ręce złożony... Była to wskazówka dla Karola, że i on powinien być rozpocząć od modlitwy za umarłych, że śmierć — przeszła tędy.

Ozwał się w nim wszakże w chwili grozy żołnierz, nawykły liczyć się z mogiłą... zbliżył się i rzekł:

— Rotmistrzu, druhu stary, jam wojak, jak i ty... nie oszczędzaj mnie, nie dziel tej goryczy na krople, jeśli ją mam wypić — podaj całą... Zabijże mnie! mniejsza o życie... Mów! kogo mi z nich zabraknie?

— Wszystkich!! wszystkich — ponuro, sucho, wstając odparł Poremba — słyszysz mnie pan i rozumiesz... wszystkich... Tak, nie ma tu nikogo z tych, których zostawiłeś... śmierć kosila i dokosila zagona do szczytu?... A kto żyw został, tego, jak mnie, trudno poznać...

— Dziad? — spytał Karol.

— Dziad, ojciec, matka... mówił rotmistrz — wszyscy poszli tam, z kąd nikt nie powraca... na cmentarz! Dziad i matka żyli najdłużej... Matka zasnęła ostatnia, płakała, na was czekając... nie doczekawszy... umarła...

Karol stał długo milczący...

— A ona? — spytał nieśmiało, cicho, prawie wyrzucając sobie, że czynił to pytanie — a ona... Ewa?

— Ewa! Ewa! — odpowiedział rotmistrz, podnosząc na niego oczy posępne zwyczajnie Ewa... panie... Poszła za męża, za dalekiego krewniaka waszego, dla imienia... za pana Wacława Plutę... Wy byliście dla nas już umarli... Myśleli wszyscy, głoszone u nas za najpewniejsze, iż okręt, co was wiozł do Ameryki, rozbił się gdzieś w czasie burzy pod

San Domingo... i że tylko pan Pulaski się uratował... Oni się modlili... i poumierali...

Karol spał głowę na dłoniach i zapłakał...

— A! trzeba mi było umrzeć raczej tam, niż na ten cmentarz powracać...—rzekł w duchu.

Cios był za silny, za gwałtowny, by go zabił, obalił tylko na chwilę i odurzył, życie wróciło... ale rażone tym paraliżem powolnym serca, co niszczy, nęka, rozchodzi się po człowieku, jak trucizna, i codzień mu odejmuje potrosze siły, po resztce wiary...

Wszyscy poumierali! Ewa poszła za męż...—snuło się po głowie Karola... — W progu ojcowizny nie było go komu powitać... ostatni niedobitek śmierci, obcy człek podał dłoń widmu, niewczesnie wyszłego z grobu...

Nie było po co wracać do tańczącego dworu.

Karol milczał, milczał i rotmistrz, bo powiedział już wszystko...

— Cóż to za uczta? co za tany?—spytał z boleścią, słuchając dolatującej go muzyki tanecznej Karol, a sercem witając starego znajomego słowika, co w tych samych śpiewał krzakach... jak przed laty.

- U nas, u nas to teraz rzecz zwyczajna... codzienna!—odparł rotmistrz z goryczą... bawim się! bawim. Pan Wacław bawić się lubi... Pani Wacławowa nauczyła się do męża stosować... Dla niej to może zagłusza głos grobów... Może potrzebuje oszałeć trochę, aby zapomnieć, że nie jest tak szczęśliwą, jak się spodziewała.

Z goryczą Karol, podstąpiwszy do okna, uśmiechnął się, patrząc na światła rześiste... przez które cieniami przesuwają mu się strojne, tańczące pary... jak przejrzyste duchy...

— Otóż co mnie czekało!—zawolał, rękami tuląc czoło rozpalone. Swawola! A! przyszedłem niepo-

trzebnie, oplakany, pogrzebiony, pochowany, natrętny. Na ojcowiznie, gdzie lata przeżył dziecinne, miejsca dla mnie nie ma... grób tylko na cmentarzu! Po co wstawać z umarłych!!

Domyślił się Karol tego, czego mu rotmistrz nie śmiał dopowiedzieć...

Tak, na cmentarzu w Skale stał wistocie postawiony przez matkę grobowiec, z imieniem Karola, z pamiątką drogiego syna, z prośbą o modlitwę za duszę rozbitka, którego ocean pochłoniął...

W tym grobie w istocie dziś leżał pogrzebiony duch Karola... pocóż ciało wracało do życia?

— Co tu począć? co tu radzić? — mruzczał rotmistrz Poremba, chodząc po izdebce cichej... O mój Boże! Dobrze, że choć ten żyje... że plemię pocziwe nie wyginęło do szczętu. Czegoż ja się głupi durzę i szaleję. Toć Bogu za to dziękować.

Karol zapytał po chwili:

— Powiedz mi... więc Ewa... Ewa dobrowolnie poszła za niego.. za tego Wacława... ona?

— Alboż... co? — spytał Poremba zdumiony, który nic się nie zdawał domyślać...

— Ale ja ją kochałem... a ona... ona...

— Ona kochała pana Wacława... to pewna... — przerwał rotmistrz... — Jejmość się nasza do ostatka przeciwiała temu, jakby miała złe przeczucia... ale w końcu, gdy panna Ewelina leżała u nóg jej, aby ją wydano za Wacława... musiało się stać jak chciała...

I ma — dodał rotmistrz — czego sobie życzyła...

Starego, zdrętwiałego rotmistrza gorycz tej chwili poić się zdawała i rozmarzać... chodził wielkimi krokami po izdebce, tłukąc się po niej jak w klatce... lice mu płonęło, lzy ciekły z oczów, mówił coraz żywiej i goręcej:

O! nie będę ci już tań... bo się nie godzi i nie potrzeba... bo to jest przez samego Boga wyznaczona uroczysta chwila... przybyłeś pan nie na groby tylko... grób rzecz święta... a po za nim nadzieja... ale na urągowisko grobom.

Dawnoż to przysypaliśmy ostatnią garścią piasku naszą dobrodziejkę? Ledwie kilkanaście upłynęło miesięcy, jak pobożną panią ludzie tam niezbożni wpędzili... aby waszego nie doczekala powrotu, a już szaleje i weseli się dwór, który być powinien w żałobie do dziś po nieboszczce...

Alboś pan nie znalazł waszego krewniaka Wacława, albo też znałeś go mało. Nie bardzo się tu on pokazywać lubił za waszych czasów, bo nie miał co robić... Dopiero im chęć przysła wśliznąć się tu... później, gdy sobie rozgłośm o śmierci waszej drogę utorowali... wozili gazetki i listy, aż was zabili nareszcie... Pole tedy stało puste... przyjechali siać, aby zbierać. Ojciec pierwszy za tą wieścią poszedł na tamten świat, zabity, milczący... położył głowę, nie narzekając, aby drugim serca nie odejmować. Dziad jeszcze stał na kresach, modląc się, głuchy, zmartwiał... ale i on na ostatek zachwiał się... Jednego ranka długo się nie budził, nie wołał, aż weszliśmy zobaczyć, co się dzieje, znaleźliśmy go... jak myślicie?

Kłęczącym, ze złożonemi rękami przed obrazem Matki Boskiej, głowa tylko zsunęła mu się na stare dłonie i tak usnął na modlitwie.

Została tedy jedna matka z wyplakanemi oczyma... ły jej wzrok odjęty, oślepla... Wodziła ją panna Ewelina... na nią spłynęła wszystka miłość i wszelkie nadzieje...

Zjawił się w porę pstry ptaszek z warszawskich klatek, ze słodkim swym śpiewem... w klatkach dużę pono pierza zostawił, ale szczebiotania się nauczył za to.

Łatwo mu przyszło opanować serca kobiece, piękny, dowcipny, wesoly, zręczny pochlebca, w sercu kobiety nigdy być próżno nie może, ledwie żal nieco przytępiony, przychodzi pragnienie... Stara jejmość, choć ślepa, nie chciała pana Wacława... czuła w nim marnotrawcę, bezdusznego a chytrego szaleńca... ale cóż! dziecko chciało, dziecko opanował! Plakała. do nóg padła, o jedyne szczęście prosić... a już dziś ona wie, jaka ją dola czeka. Niedługo potrzeba było czekać odczarowania, przyszło niemal nazajutrz po ślubie... A teraz... dorzucił rotmistrz rozpaczliwie... nic... Skała już nie wasza i Ewa nie wasza...

Mówił, Karol go już nie słuchał... gorzało w nim i palilo się.

Obudził się żołnierz, nawykły do walki... mimo zakłóć rotmistrza przerażonego, który go chciał powstrzymać, poszedł z płomieniem w oczach wprost do dworu...

Przez tłum służby, ściśnięty u drzwi od sieni otwartych i zaglądający ciekawie, przebił się podróżny, którego nikt nie poznawał, ale nikt wstrzymać nie śmiał. Choć w sukni odartej, miał rycerską i pańską postawę, w chodzie tym czuć było, że po ojców stapał ziemi. W tym przybyszu, idącym tak śmiało, rozpychającym ludzi, zdradzało coś, że miał prawo stanąć na tym progu i wykrzykiem bólu przerwać tę oszalałą weselość. — Wesele! wesele to na grobach nieporosłych.

Rozstał się tłum przed dziwną ową postacią... Karol szedł, rozpychał ludzi, a przekroczywszy próg sali... założył ręce na piersi... skrzyżował je... uśmiechając się stanął. —

Pośrodkiem sali szedł polski taniec, nie ów, co poważnie, powoli zimną jeszcze rozpoczyna zabawę, ledwie nie uroczystym marszem... niby powracających z boju rycerzy... ale może ostatni, pijany, końcowy... mężczyźni z kielichami w dłoni, kobiety w rumieńcach znużenia i rozmarzenia pół omdlałe a drżące... W ustach mężczyzn okrzyki, ręce, w których szarpie się bijąca krew, ledwie utrzymują drobne tanecznic dłonie... polski wije się jak wąż po sali i zawraca i idzie i skończyć nie chce i nie umie się już pomieścić w ciasnych ścianach dworu... Zachciewa mu się wybiedz drzwiami, obszedłszy komnatę, wyskoczyć bodaj oknem do ogrodu, zabrać muzykę i ruszyć hej... w świat... parami... powitać noc majową pod cieniem drzew rozwoniałych, lub brzaski poranku i brylantowe lzy rosy na kwiatach...

Tak szedł długim węzem ów polski...

Gdy pierwsza para już się do progu zbliżyła, gdy niecierpliwy tancerz wołał - Z drogi! na natręta, aby dalej ruszyć z tanem w świat... gdy goniący go tancerze cisną się i kupią... niespodziewaną wstrzymaną zaporą...—milczenie straszne jak śmierć wionęło po uczującym... stanęli wryci...

Na przedzie szła gospodyni domu z uśmiechem na ustach, a łąą w oku, starościna Ewelina z panem szambelanem Parysem; za nią gospodarz, piękny jak Antinous, mrużył oczkami do wojewodziny Potockiej... dalej był tłum niepośledni, wszystko wielmożne i jasne, urodzone wysoko, gdzieniegdzie na piersiach błyszczała wstęga i gwiazda... a we wszystkich oczach radość i ochota... Hu! ha!

Niebieskie, łzawe oczy Eweliny podniosły się do góry, utkwily w twarzy nieznanej a znajomej... zaszyły mgłą, krzyk się dal słyszeć... mdły, słaby... gospodyni schyliła się na ramię tancerza swego... poślониła... pobladała jak trup... i upadła...

Wszystkich oczy strzeliły razem na to widmo...

Na progu stał Karol z założonemi na piersiach rękami i śmiał się dziko i szydersko...

Jeszcze raz krzyk ostry, urwany jakby z piersi konającego rozległ się i przerwał muzykę... Ustały skrzypki, gwar i szmery... milczenie... potem szept cichy... a w progu wciąż stoi to widmo blade i patrzy a patrzy dziko.

— Któż to jest!? co to znaczy!? wołają... Gospodarz wyrwał się od wojewodziny przelekłej, przypadł gniewny, rozwścieczony.

— Co to za włóczęga? — zawołał, podnosząc pięść — kto go tu wpuścił? cóż za jeden...!? Służba! precz mi z nim!

— Cicho! Ja ci powiem chyba precz... precz, przybłądo z cudzego gniazda — odkrzyknął Karol z dumą i gniewem... — Jestem Karol Pluta... dom to mój, i jestem na ojcowskim progu... a ty!?

To mówiąc, tyłem się do lircyka odwrócił i już nań nie patrzył, pokłonił się oblegającym go dokoła, którzy się z uszanowaniem rozstępowali.

— Jestem Karol Pluta! — powtórzył donośnym głosem...

Tych wyrazów dosyć było...

Tak się zakończył ów do zbytku wesoły wieczór w Skale, w rocznicę ślubu starosty... Ewelina, otarłszy oczy, długo słowa wyrzec nie mogła... Goście przerażeni, poczęli się spiesźnie wysuwać, wołając o konie... pijana służba biegła do powozów... kto mógł uchodził przed widmem i domem, który ono nawiedziło.

W godzinę potem dwór był pusty... w dziedzińcu tylko na brzask śpiewały głośniejsze słowiki... Ewelina leżała chora... Wacław miotał się po pokoju... a na stołku w oficynie z głową w dłoniach siedział Karol sam zadumany... pół żywy...

W progu stał rotmistrz i płakał, a drzemał razem...

Wstał nareszcie ranek złocisty... oprzytomniali z nim ludzie... chora zwinęła się z pościeli do kolebki dziecka.

Starosta głęboko rozmyślał; nie był to człowiek, któregooby jedno uderzenie w piersi dobiło, pierś miał stalową, a serce... dawno umarłe.

Pojmował on, że w podobnych okolicznościach byłby prawie tak samo sobie postąpił, ale Amerykanina miał za nadto dobrze wychowanego człowieka, by się do położenia zastosować nie umiał... rachował na jego rycerskiego ducha i wspaniałomyślność żołnierską, iż się da ła da czem zaspokoić i odprawić... Na ostatek Wacław domyślał się czegoś w jego sercu dla Ewusi, bo w dawnym mieszkaniu Karola widział jej cyfry na oknie i ścianach... nie rozpaczal więc wcale, poszedł na palcach do żony... Ewa była biała, drżąca, strwożona...

— Sluchaj starościno — rzekł z uśmiechem — ja wiem, że on się kochał w tobie... Cóż mi tam!! Teraz pani jedna możesz go ugłaskać i ułagodzić, tego lwa amerykańskiego, aby nas, wyrzuciwszy ztąd precz, z torbami nie puścił... Ja zamknę oczy, uszy, wszystko od pani zależy... bądź czułą, bądź bardzo czułą... wspomnienia młodości są drogie...

Wskazał na kolebkę dziecięcia.

— Przyszłość twojego dziecka może dziś zależeć od słodkiego uśmiechu, od czułego ściśnienia ręki... — dodał — a co do mnie... proszę być pewną, że tego za złe nie wezmę...

Kobieta spojrzała na niego, wzdrygnęła się miłcząca i pochyliła ku dziecięciu. Starosta śmiał się, ruszając ramionami; był dobrej, Stanisławowskiej szkoły.

— Rozumiesz mnie pani — mruknął — będę ślepy i głuchy... Bądź co bądź, Skały mu oddać nie możemy... bo nie mamy już nic prócz tej... odludzonej Skały... Słyszysz pani?

Ewelina zdawała się nic nie widzieć i nie słyszeć, płakała nad łosem dziecięcia, nad nikczemnością tego człowieka, który po chwili, ruszywszy ramionami pogardliwie, rzucił drzwiami i wyszedł.

Wacław, jak i Karol, był dziecięciem wieku... ale nie rodzili się bliźniętami... Były to dwa sprzeczne duchy na jednych wykołysane rękach, aby pamięć braterskiej nienawiści Abła i Kaima nie wygasła na ziemi.

Karol przedstawiał w sobie, co odradzający się wiek miał męztwa i szlachetności; Wacław, co kornająca epoka miała zgnilizny, egoizmu i niewiary. W Karolu wszystko było prawdą, serce otworem; w Wacławie wszystko udaniem, pychą, dowcipem, szyderstwem w piersi zamkniętej a pustej. Karol dałby był życie za miłość świętą, dla przekonań, za ludzi... Wacław wszystkichby chętnie poświęcił sobie, wydrwiwał tych nawet, których niby kochał, bo mu ra coś byli potrzebni, pogańsko powtarzając: *Carpe diem*.

Ale Karol był szorstki, niemal dziki, często milczący i niezbadany, gdy Wacław zawsze słodki, serdeczny, miły, wciskający się gwałtem do serca, smaczny, jak ocukrowana trucizna, i pozornie otwarty.

Pod powierzchownością Antinousa krył się charakter Nerona, nawykłego uśmiechem zbywać najtrudniejsze życia zadania... bo wiedział, że chytrą i podstępem je złamie. Zręczny, zabiegliwy... myślał o sobie, sprowadzał wszystko do własnego interesu, świat dłań był w nim - reszta zdawała mu się stworzoną na służbę u pieszczonemu Wacia.

Oczarował on zrazu Ewelinę — chociaż serce matki go przeczuło... Woń jakaś zdradzała węża, vzdrygała się, ilekroć się do niej przybliżał... Potem na

chwile umiał ją rozbroić, ale instynkt wracał i ostrzegał, że pod tą maską kryła się poczwara.

Wacław, jak większa część ludzi tego wieku, lubił żyć, a na ołtarzu życia rozpasanego świat, ludzi, żonę, wiarę, poczciwośćby był spalił.

Miał wszystkie namiętności, a żadnego hamulca, oprócz pewnego poszanowania form świata...

Ewelina go pokochała, olśnił ją dowcipem, pięknością, oczarował słowy, oszukał pozorami namiętnej miłości... ale złudzenie jej trwało krótko... Zaledwie odeszli od ołtarza... poznała go... przestraszyła się... odrętwiała... Prosiła Boga, aby to było omyłką, ale z każdym dniem spadały z niego obłony... żywy dla obcych... dla niej coraz zimniejszym stawał się trupem.

Ocuciła się jednego dnia w objęciach potwora, którego lękała się tylko, bo kochać go nie mogła... bo wzgarda wstąpiła w serce... ale musiała być posłuszną i iść okuta łańcuchem, bo była matką.

Pomiędzy nią a nim miłość zgasała prędko, został z jednej strony strach i obrzydzenie, z drugiej obojętność szyderska...

Wacławowi też nie szło bynajmniej o żonę, ani o dziecię... tylko o Skalę...

W sercu Karola stara miłość wstała wskrzeszona... rozbudziła się raczej, bo nigdy kochać jej nie przestał. Obraz jej poszedł z nim i powrócił. — Ze łzawych oczów Eweliny wyczytał, że nie była szczęśliwą... a pragnął, aby choć ona jedna wzięła dziedzictwo szczęścia po umarłych...

Gdy Wacław uprzejmy, serdeczny, uniżony aż do spodlenia, przyszedł wyciągając dłoń, tuląc go do serca, prosząc o przebaczenie, widział w nim już nie przywłaszczyciela, ale męża tej, którą pragnął widzieć spokojną i szczęśliwą...

Chwilami nawet Wacław mu się wydawał miłym, obalamucal go szczerością udaną... to, co o nim mówił rotmistrz, gotów był posadzić o przesadę... Skwaszony, biedny starzec wszystko mógł widzieć czarno...

Karol chciał być omamionym i mieć się dawał... pragnął, by ofiar tyle na coś się przecież przydało, a do nowych był gotowym...

Poremba, patrząc na ich stosunek, na nagle ulagodzenie Karola — słupiał, nie rozumiał nic — lecz po cóż miał już usta otwierać? Poszedł do swej izdebki, siadł i powiedział sobie, że się już światu na nic nie przyda.

We dworze obchodzono uroczyste powrót amerykańskiego bohatera, towarzysza Pulaskiego... i Lafayette'a. Wacław wysilał się na przyjęcia, na okazy czułości, na pochlebstwa, sądząc, że niemi kupi prostodusznego żołnierza. Ewelina szła jak ofiara, gdzie kazano, milcząca i zrezygnowana... oczy jej patrzyły niekiedy na Karola z jakimś politowaniem... usta nie śmiały się odezwać. Nie umiała klamać, a prawda była ta gorzką... i los dziecka... i przyszłość cała... i groźby męża... milczeć kazały.

Drugiego, czy trzeciego dnia Karol już mówił w duchu do siebie:

— Po co mi ta ziemia? na co to mienie? dlaczego mam im pokój zakluć? Czyż cmentarz i groby nie pozostaną mojemi na zawsze? któż mi tam plakać i modlić się zabroni?

Milczał wszakże Karol... Wacław go podbić usiłował, ale się jeszcze lękał; z obu stron badano się wzajemnie, ostrożnie...

Starosta wiedział jedno, iż mu się w życiu nigdy nie zdarzyło być odepchniętym, jeśli kogo pozyskać sobie postanowił...

Któż wie, co myślała Ewa? chodziła jak nieprzytomna, była nieszczęśliwa, ale patrzyła w kołobkę, z której się uśmiechała nadzieja... na Karola z boleścią,

na Wacława ze strachem... Obawiała się wszystkiego odeń, bo wiedziała, że go największa podłość nie ustraszy.

Wacław niepocziwie rachował, że w dwojgu dawnych kochankach odezwie się miłość ich dziecienna, a on na niej skorzysta...

Ustępował więc z drogi, uśmiechając się szydercko, udając, że nic nie widzi, a pragnąc napróżno dopatrzyć się czegoś. Życzył serdecznie prawie, aby go zdradzono, bo przez to stałby się panem żony i zawadzającego krewniaka.

Ale ta rachuba, na nikczemnem pojęciu namiętności oparta, zawiodła go. Inaczej sobie wyobrażał Karola, człowiekiem słabym i do siebie podobnym, inaczej Ewę, próżną, namiętną i płochym niewiastom wielkiego świata równą.

Tylko przyjacielskimi objawy uczuć dla Karola, który takiej chytrłości przypuścić nie umiał, całkiem go potrafił uwieść i rozbroić. Karol miał go już za stworzenie pocziwe, ale słabe... Strona ohydna tego charakteru pozostała dlań zakrytą.

Napróżno czasem rotmistrz wieczorami, pocichu (bo się lękał podsłuchania) usiłował Karola objaśnić, uczynić ostrożniejszym i zerwać z jego oczów zasłonę; tułacz ścisnął go, dziękował mu i uśmiechając się — zamykał rozmowę.

— Kochany Poremba! nie mam ci tego za złe, iż tak czarno widzisz wszystko i tak surowo sądzisz o ludziach... byłeś i jesteś nieszczęśliwym. Lecz wierzaj mi... ludzie złymi *bywają*, lecz nie *są*; nikt nie może być zepsutym ostatecznie, ani cnotliwym idealnie... słabi jesteśmy.

— Gdybyż tylko słabi, mości dobrodzieju! — wzdychał rotmistrz... — dajmy już temu pokój, pan jesteś za uczciwy, abyś ten brud zrozumiał... ja tylko mówię z obowiązku, boć strzeżonego Pan Bóg strzeże.

I tak się zwykle rozmowy ich kończyły.

Przyjmowano Karola uroczyście. Wacław nie rozumiał serdeczno ci objawionej inaczej, tylko biesiadą, kielichem, przy tłumie świadków, w gwarze pijanym... Na urodziny więc Karola, które jakoś wkrótce przypadły, sproszone gości z najdalszego sąsiedztwa... ile ich dwór mógł pomieścić. Wacław spodziewał się pod wpływem rozczerzenia, jakie miała wywołać biesiada huczna, przy pomocy zręcznych przyjaciół swych wymódl na Karolu zrzeczenie się spadku po rodzicach. Nie domyślał się, że Karol już był w duszy postanowił odstąpić Skalę.

Orle jego oko, zajrzawszy w głąb żywota tych dwojga na pozór szczęśliwych małżonków, przeczuwało co najmniej prędką majątkową ruinę, czuło despotyzm mężowski, który w każdej chwili mógł Ewę zmusić do ofiar... chciał więc swych praw wyrzec się na dziecię... aby majątek ocalić. — Tego nie przewidywał Wacław... ani się mógł opierać.

Aż do tego dnia, pomimo zabiegów nader zręcznych starosty, który żonę z Karolem zbliżyć pragnął, samych ich zostawiał, zmuszał niejako do długich rozmów, a Ewę burczał za jej obojętność i niezręczność, Karol się do niej poufalej nie zbliżył.

Był nadto czystym, szlachetnym, kochał zbyt szczerze i święcie, aby szukał kradzionego, upadającego szczęścia.

Najczęściej, zszedłszy się z sobą, spoglądali, przemówili kilka słów obojętnych i rozbiegali umyślnie, unikając dłuższej rozmowy. Ewa nie śmiała i nie mogła mówić, bo musiałaby klamać, on — nie umiał ani być chłodnym, ani udawać obojętności długo. Samo ułożenie postaci już go wiele kosztowało, a usta utrzymać na wodzy... było mu tak trudno.

Dnie Karolowi upływały na wędrownkach po tym dworze, w którym ślady dziada, ojca, matki pozaczała lekceważenie; Karol odgrzebywał z pod gru-

zów tę Pompeję młodości i napawał się goryczą, myśląc o drogich zmarłych swoich.

Wacław próżno do jego serca kolatał, budził w nim politowanie tylko, byli z sobą grzecznie a zimno, ale nie otwierała się pierś tułacza dla tego szczenioliwego stworzenia innych wyobrażeń i świata. Z Porembą tylko chadzali na długich gawędach, rotmistrz plakiwał, starość dała mu temperament łzawy, Karol wzdychał. Rzadko usposobienie weselsze rozjaśniło im lica.

Niektórzy starzy przyjaciele rodziny, na wieść o powrocie Karola zbiegli się do Skały... im także boleśnie było widzieć to miejsce, gdzie niegdyś owo orle gniazdo leżało, obrócone na klatkę wróbli rozpustnych.

Na wielką ową uroczystość urodzin Karola, mimo odpraszań jego i wymówek, wezwano całe sąsiedztwo, dalsi goście w wigilią już zjeżdżać się zaczęli...

Wacław głównie rachował na pośrednictwo krewnego swego, pana kasztelana... czelaka wytartego w świecie, z gębą wyparzoną a uczciwością prawniczą, która umie zawsze obrócić sprawę wszelką, jak wypada z interesu – a potem łataną zgodę zalać kieliszkiem, toastem i zapieczętować uściskami... Kasztelan uchodził za sławnego pojednawcę. Potrzeba było kończyć co rychlej, aby wpływ starych przyjaciół rodziny Karola nie podziałal nań i nie zmusił go do upomnienia się o Skałę... Na Ewę też jak najsilniej nalegał mąż, aby dawnego swego miłośnika ujęła i zakłęła na przyszłość swego dziecięcia, by ich nie gubił.

Najwięcej zawsze jeszcze licząc na żonę, sam ją prawie rzucając w objęcia Karola, zmusił do ostatniej rozmowy... Wprowadził do ogrodu, odstąpił samych i zmieszanych rzucił w tem miejscu właśnie, gdzie niegdyś matka swem przybyciem przerwała wyznanie Karola. Oboje stali pomieszani i milczący. Karol ze zwykłą sobie powagą rycerza przywiązywał do

tych wspomnień prawie religijne poszanowanie; były to czyste i święte uczucia... przypominał sobie czas, miejsce — wzruszyło go, że ich tu los po latach tylu — tak różnem położeniu — sprowadził znowu. Ewa oczy miała łzawe, a była, jak zawsze, onym posagiem milczenia, co duszę kryje w marmurze...

— O mój Boże! — zawolał nareszcie Karol pod wrażeniem przypomnień — jakże losy nasze zmieniły się dziwnie od tych lat, kiedyśmy tu w tem miejscu się żegnali? Przypominasz pani sobie?

Pamiętam — odpowiedziała cicho Ewa — ten wieczór, gdyś mi pan tu oznajmił, że wyjeżdżasz.

Od tego wieczoru — mówił Karol wzruszony — Bóg świadek, w sercu mojem nic się nie zmieniło, nabierało się tylko gorzycy — pioluny porosły na grobach.

A! gdybym przynajmniej was — dodał — którą dziś siostrą nazwać tylko mogę, widział szczęśliwą...?

Ewa na niego oczy podniosła, w oczach tych stały łzy, to była odpowiedź cała... Obejrzała się potem bojaźliwie... jakby się podsłuchaną być lękała.

Jestem szczęśliwą... — wyrzekła z łkaniem w głosie... niedosłyszczanym prawie cichym szmerem — jestem szczęśliwą... mam dziecię, mam nadzieję...

Tak, masz, siostro, przyszłość — dodał Karol — nie chcę się wiązać niczem, ani gospodarstwem, ani mieniem... ani zbytniem przywiązaniem do zagony i roli... do miejsc, w którychbym miękl i rozłzawiać się musiał... Pobyt w Skale byłby mi niezdrowym... — kończył, spoglądając na Ewę, która drżała... — dlatego proszę cię, siostro, oświadczyć odemnie mężowi... iż Skalę odstąpię dla waszego dziecięcia... da mi tylko tyle, bym nie umarł z głodu... co zechce i jak mu będzie dogodniej... Tu... w Skale, nazbytby mi się krwawilo serce, wyżycbym nie potrafił...

Powiedział to, jakby ich o łaskę prosił. Ewa zrozumiała dobrze, iż czyniąc wielką ofiarę, nie chciał nawet okazać, że ją zrobił, wzięła go za rękę i z uczuciem, z przejęciem, ze łzami schyliła się, aby te rycerskie ucałować dłonie, upokorzona szlachetnością jego...

Jakże małym wydawał się jej Wacław przy tym człowieku!

Chwila to była straszna dla wojaka, co przeciw kulom szedł śmiało... gdy uczul usta jej dotykające ręki i dwie lzy gorące, które na nią upadły. Zmieształ się, nogi pod nim zadrgały, chciał upaść przed nią na kolana, pochwycić ją, uścisnąć... uciec... ale męzka pocziwa dusza zwyciężyła straszną pokusę... Pochylił się tylko drżący, pocałował ją w rękę i odskoczył, oczy zakrywając dłońmi.

Nie widział nic, świat mu zaszedł ciemnością... największą ofiarę spełnił, odepchnął ją w chwili, gdy życie byłby dal za ten uścisk, który mu się błagało... narzucal.

Pocziwy rycerz starych czasów szanował małżeństwo, czystość istoty, którą ukochał, jej spokój — chciał sam z tej próby ognia wynieść białym i nieskalanym...

— Ewo, siostró — rzekł poważnie — bądź szczęśliwa... dotrwamy oboje w próbie życia... do końca... jak pocziwe dzieci tego świętego gniazda powinny. Wiem, co ty cierpisz... ty czujesz, co ja mam w pierśsi... Bóg sprawiedliwy. Jeśli ci kiedy dłoń przyjaciela stanie się potrzebna... ozwij się do mnie... przybędę... to jedno, o co cię proszę... W chwili ciężkiej, od której niech Bóg cię uchowa... masz brata, co życie da za ciebie... Jeśli ty lub dziecię twoje zapotrzebujecie obrońcy — przeciw komukolwiek... macie go i mieć będziecie we mnie...

— A teraz — rzekł — chodźmy...

Ewa spojrzała zań z za łez, szczęśliwsza...

17

- A! tyś wielki! — rzekła po cichu, jam ciebie była niegodną...

Za krzakami stojący Wacław ruszył ramionami...

Przyszli tak już z przerwana rozmową pod ganek dworu...

Tu, siedząc za stołem z butelkami węgryna, przygotował się kasztelan na uwikłanie i skonwinkowanie Karola swą wymową, sofizmatami, argumentami... ani on, ani Wacław nie wiedzieli, nie domyślali się, że owo wielkie zadanie samo w sercu poczciwego człowieka już się ofiarą rozwiązało.

Stary wyga, kasztelan, spostrzegł odrazu, iż miał do czynienia nie z pospolitym człowiekiem, na którego by lada jakie starczyły sidła... Od dwóch słów poczuł, iż to mur nie do przebicia, jeśli się sam dobrowolnie nie otworzy.

Wacław w ogrodzie nie dosłyszał nic... przypatrzył się tylko niemej scenie między Ewą a bratem, zostawiwszy więc Karola w rękach pana kasztelana, pobiegł za żoną, aby się co rychlej dowiedzieć, co zrobiła... Ale Ewa poruszona do głębi, odepchnęła go zimnem milczeniem. Chłubić się tem łatwem zwycięstwem znajdowała ohydne; obudziło się w niej uczucie szlachetne... wahala się, czy może przyjąć ofiarę Karola... Ona teraz chciała iść spróbować ubóstwa, pracy skosztować tego szczęścia dumnego, jakie daje dobrowolne poświęcenie...

Mąż, widząc ją smutną, nie mogąc wymódl na niej słowa, nagniewał się, ruszył ramionami i wychodząc plunął, rzucając jej wzgardliwe połajanie...

Tymczasem Wacław po swojemu osaczał nieprzyjaciela, zastawiał sidła, gromadził swoich adherentów, zabiegał... a Karol, który to wszystko widział,

śmiał się w duszy. Glaskano go jak dzikie zwierzę, którego gniew był straszny... patrzano mu w oczy, chwytano wyrazy, aby z nich coś wnioskować... gubiono się w domysłach, Karol milczał.

Pomiędzy przybyłymi gośćmi jedno z pocześniejszych miejsc teraz zajmował w Skale dawny pokorny w niej rezydent, garbus ów, komornik Krzywaczyński, którego dziwne losu zrządzenie nagle po wyjeździe Karola dźwignęło z ubóstwa i wyniosło na dostojenstwo jakiegoś podkomorzego...

Krzywaczyński, który poróżniwszy się z całą swoją rodziną, jadł łaskawy chleb Plutów, nieustannie i tu waśnić się ze wszystkimi... starając się, a nie mogąc ożenić... otrzymał wcale niespodzianie znaczne dobra po siostrze, zmarłej bezdzietnie.

Ta zmiana szczęśliwa losu niewieleby może odmieniła człowieka, gdyby wkrótce potem przeszło sześćdziesiątletni garbus nie ożenił się...

Szczęśliwe pożycie domowe, majątek, z nim zawsze idąca względność i szacunek ludzi, którzy wprzódy Nielitościwie się z nim obchodzili, o tyle wpłynęły na podkomorzego, iż złośliwość i dowcip uczyniły znośniami... Otworło się w nim długo zamknięte serce... Pamięć pobytu w domu Plutów była mu drogą, a wdzięczność dla rodziny nieograniczoną... ale wzgarda dla Wacława i niechęć dla niego równie silną... Z tą się bynajmniej nie taił.

Nie bywał on nigdy w Skale; zaproszony wszakże, przyjechał dla Karola... Chciał on w początku ściągnąć go do siebie, ofiarował mu dom swój, majątek, usługi... ale żołnierz z serdecznem podziękowaniem odrzucił wszystko...

Podkomorzy przyjechał. aby, jak mówił, dopilnować sprawy...

— To człowiek szlachetny, jak mało — mówił głośno — a ma do czynienia z łotrem... nie dam go pokrzywdzić, bo się tam gotuje jakieś łajdactwo... Je-

śli zle nieuniknione, bo to człek zręczny i ma po sobie całą zgrają pieczeniarczy... no, to im przynajmniej prawdą w oczy plunę, abym na sumieniu nie miał, żem puścił grabież i krzywdę milczeniem...

Z takim postanowieniem przybył garbus do Skaly milczący, zimny, ale straszny. Wszyscy, nawet kasztelan, języka niepowstrzymanego obawiali się... to też sadzono go na pierwszym miejscu, a skakano niezmiernie, aby sobie pozyskać. Ale to były próżne zabiegi, bo Krzywaczyńskiego pochlebstwa niecierpliwiły, nie jednały... słuwał, gdy mu grzeczności prawiono, przypominając sobie te czasy, gdy ubogi odpychany był i wyśmiewany nielitościwie. Teraz on czuł się w obowiązku nielitowania nad nikim...

Zobaczywszy powracającego z ogrodu Karola, podkomorzy wstał zaraz, pilno mu było rozmówić się z nim poufnie, wziął go pod rękę i napowrót wprowadził w cienistą ulicę...

Dobrodzieju mój — rzekł — bądź ze mną szczerym, jako ze starym sługą domu waszego... Staję uzbrojony na obronę waszą, choćby do szabel przyjsć miało... Powiedzcie mi... co zamierzacie... kto tu pan? co ma być dalej? Juściż odbierzecie Skalę?

Niema dziwu, że rodzina, mając was za umarłego, oddała majątek temu przybłędzic, urwiszowi, z pozwoleniem... którego dla imienia za dziecko przybrano... a który, między nami mówiąc, już część cudzej fortuny przemachał... ależ pan jesteś prawym dziedzicem... pozostaje im tylko związać manatki i ruszyć sobie w świat szczęśliwie...

— Kochany podkomorzy — odpowiedział, uśmiechając się Karol — raczcie mnie cierpliwie posłuchać... ja się na to z mojego stanowiska zapatruję inaczej. Wstępując do konfederacyi, uczyniłem ślub... Jestto jakby ślub zakonny, który zrywa wszystkie węzły ziemskie... Bóg je sam zresztą wolą swoją potargal...

Postawiła mi matka grobowiec na cmentarzu i ja się też za cywilnie umarłego uważam... Zatem nie dziecięcę, nie chcę nic...

Alebyś chyba oszalał! - zawołał rozpaczliwie podkomorzy — to fantazya dzika i dla kogo... dla tego, z pozwoleniem, trutnia, który jutro to przepuści!

— Majątek oddam dziecięciu Ewy! - rzekł Karol. Podkomorzy spojrzał nań.

— Czekaj pan, nie spiesz się, namyśl — odpowiedział — młody jesteś, ożenić się możesz i powinienes... fortuna dziadowska, rzecz święta, rzucać się jej nie godzi... to fideikomis, a nie dorobkiewiczowskie mienie...

— Moja fortuna — odparł Karol zimno — to ta szabla saracenka, którą mi dziad oddał... tej nie odstąpię nikomu.

Co się tyczy Skaly, kochany, stary przyjacielu, rzecz postanowiona... a ja jestem uparty...

Podkomorzy za rękę go chwycił gwałtownie.

— Panie Karolu... zlituj się! tak się nie godzi...

Oddaję dziecku, nie Wacławowi...

— Wszystko to jedno, jeżeli Skala nie będzie waszą, człowiek ten wychowa następcę na obraz i podobieństwo swoje... A tobie, tobie, dziedzicowi prawemu, iść w świat o kiju...

- - O szabli - - przerwał, uśmiechając się Karol — to rzecz nieuchronna, niezmienna, postanowiona.

Krzywaczyński ręce zalał...

— Żebyż tego byli warci! — mruknął — ale mówże, co, jak... myślisz... już ci o zebraniu, na rezydencję nie pójdziesz!... Jaby ci własnego odstąpił domu.

— Znajdę kąć... — odparł Karol — Rodzice oddali Skalę im, niech ona przy ich dziecięciu zostanie, pogrobową wolę szanuję. Bóg chciał widocznie, bym niczem związanym nie był... Dadzą mi co... zechcą, co można, abym skromnie miał z czego żyć... pój-

dę. zaszyję się gdzieś w kącie, w lasy, będę czekał chwil lepszych.

Podkomorzy westchnął.

Zaklinam cię — rzekł namyśl się... abyś potem nie żałował... to farmazon!

— Ale nie jemu wszakże oddaję Skalę, tylko synowi Ewy... — rzekł Karol — a to, kochany podkomorzy, tak jakby się już stało, nieodwołane postanowienie. O to was tylko proszę, jeśli można — widzę, że kasztelana wysadził Wacław do traktowania ze mną tej sprawy — oszczędźcie mi przykrej gadaniny, bądźcie moim pośrednikiem pełnomocnym... Nie wymagajcie od nich wiele... co można... bylebym miał za co wziąć dzierżawę gdzieś, żeby pod cudzym dachem nie mieszkać... Spuszczam się na was zupełnie...

— Wolalbym, żebyście do tego kogo innego wybrali — rzekł podkomorzy — nie wiem, jak wykrztuszę to zrzeczenie przeciw przekonaniu... Gdyby mieli kroplę wstydu, tegoby ani wymagali, ani przyjęli...

— Kochany podkomorzy, stało się, a od ciebie teraz zależy wytargować dla mnie chleba, choćby suchego kawałek...

Ścisnął go za rękę.

— Jeśli ty się nie podejmiesz... będzie gorzej — dodał.

— A już ciż muszę, niema rady... — odpowiedział Krzywaczyński — ale wolalbym żydowi w piecu palić, niż z nimi do czynienia mieć w tej sprawie.

Nazajutrz obchodzono świetnie imieniny Karola, ale jego czoło dnia tego chmurniejsze było, niż poprzednich... Niecierpliwiła go ta uczta, goście, tłum ciekawy, użyty wreszcie środek ten pozyskania sobie serca, uwłaczający temu, którego miał ująć. Uśmie-

chal się gorzko z tego sposobu, *ad captandam benevolentiam* wymyślonego. Przy obiedzie, posadzony koło Ewy, siedział, jak widmo nieme, bo patrzył na tych, których mu tu brakło, na cienie dziada, matki, ojca i dawnej swej Ewusi z rumieńcem na twarzy i włosami zaplecionymi na ramionach. Napróżno Wacław na wesołość się wysilał, podsycać się ją starał mnogimi kielichami, prosił gości, aby nie dali zadumywać się solenizantowi... im więcej oni szaleli, tem Karol posępniejszy był, bardziej ponury, czarniejszy.

Pod koniec obiadu wszyscy doń przyszli z kielichami...

— Zdrowie! zdrowie! niech żyje nasz amerykański bohater, przyjaciel Pulaskiego... zdrowie pana Karola!...

— Nie! — zagrzmiął, powstając, silnym głosem wyzwany — nie, panowie... Dziś wesołość jest zbrodnią, kielich trucizną, uczta każda stypą! myśmy w żalobie...

Cisza, jak mak siał, długa, ciężka przeszła po tym kielichu.

Wacław był zawstydzony, uczta przerwana, gorączkowa wesołość płochych ludzi obumarła... Starzy otarli łzy, wszyscy usiedli w milczeniu, Krzywaczynski za kolano go uściśnął.

— Z przeproszeniem dostojnego naszego rycerza — rzekł, powoli podnosząc się, a raczej kielich do góry wzniosłszy, bo sam ze swoim garbem ledwie nad stół wychodził — za pozwoleniem, ja, mimo protestacyi, wnoszę jeszcze jeden toast... nasz uroczysty, wielki, zamykający każdą ucztę przypomnieniem obowiązku:

Kochajmy się!

Tak... ale kochajmy się miłością pobożną dzieci... złóżmy na oltarzu niesnaski, swary, miłości własne, urazy... bądźmy braćmi!

A wreszcie — weselej zakończył podkomorzy —

kochajmy się, choćby dlatego, że ktoś nas kochać będzie, jeśli sami się tego nie podejmiemy..

Pokłaśnięto toastowi i tak prędzej, niż rachowano, skończyła się biesiada.

Krotochwilni goście Wacława poczuli, że konfederata z tego poważnego, godnego tonu, jakim przemówił, sprowadzić nie zdołają. Starosta, któremu się nie powiodło, widocznie był chmurny, obawiał się...

Nie rozmarszczył się, aż nazajutrz dopiero, gdy Krzywaczyński, dawszy ten dzień rozmysłom, poszedł do kasztelana i objawił mu, że jest upoważniony do poufnego naradzenia się z nim o układy i odstąpienie Skąły.

Kasztelan, który nie wiedział, jak zagaić interesa, porwał się i uściskał garbusa, oświadczając gotowość i zgodę na wszystko... Krzywaczyński, zręcznie bardzo wystawiwszy wielkość ofiary, żądał od przeciwnej strony warunków. Kasztelan chciał wybadać wprzód, co też oni żądać mogą. Z przebiegłością dwóch starych lisów, obsypując się grzecznościami, potnieli do południa, nie mogąc nic wyssać z siebie. Wacław naglął zdala, nie mieszając się, bo mu kasztelan zakazał.

Przyszło nareszcie do tego, że podkomorzy oświadczył, iż Karol Skąłę odstępuje synowi pani Wacławowej. Napróżno kasztelan przedstawić się starał, iż to uwłaczało starości, starościnie, że krzyżowało ich interesa... Krzywaczyński dołożył *verbum nobile*, iż inaczej być nie może. Przeszli następnie do oznaczenia sumy odstępnego, a tu znowu oświadczył uroczyście umocowny, iż ta gotówka natychmiast przy sporządzeniu aktu zapłaconą być musi. Drugi ten orzech do zgryzienia ciężki, gdy się nie dał zgnieść, ni odrzucić - przystano i na to.

Garbus rzekł na ostatku: — Sądząc z tego, jak pan kasztelan ostro stajesz w obronie swego krewnego, możnaby myśleć, że istotnie obrabiamy tu interes

sporny... Interesu zaś nie ma żadnego, czynimy ofiarę dobrowolną, warunki nasze przyjmiecie dobrze. nie? jak wola... Dlatego to przypominam - dodał - iż o odstępnę targować się nie myślę wcale... dacie je, przyjmemy, nie możecie, zostaniemy przy Skale...

Tak zastraszony pan kasztelan, uściśkał znów podkomorzego, począł od przedstawienia mu nader ciężkich czasów, prosił o wyrozumiałość... zmiękczał... ale wreszcie, gdy suma wcale nie przesadzona, stu tysięcy złotych, wyrzeczoną została... choć mruczał, przystać na nią musiał.

Zgodzono się na wszystko... znaleźli krewni kredyt dla jaknajśpieszniejszego spłacenia Karolowi... i formalny akt ustępstwa na syna starosty podpisanym został. Tulacz wymówił tylko dla siebie portrety familijne, kilka pamiątek po dziadusiu, ojcu i matce, trochę koni ze stadniny, trochę rupieci starych, pordzewiałych od łez i potu... misiurek i zbroi.

Wacław pozbywał się tego niepotrzebnego mu sprzętu, z uśmiechem człowieka, który lepszą część przy sobie zatrzymuje... oddawał wszystko chętnie, byle Skala przy nim została.

Gdy tak ułożyło się wszystko, Karol oświadczył, iż wyjedzie natychmiast; Krzywaczyński prawie u nóg mu leżąc, wymógł, że u niego wziął dzierżawą majątek na Wołyniu, w Łuckim powiecie, w którym on od czasu, jak go po siostrze odziedziczył - nie był ni razu. Karol, ułożywszy się z nim, pragnął co najrychlej oddalić się z tych miejsc, zerwać ze wspomnieniami, rozpocząć życie czynne, surowe... pragnął pożegnać Ewę i nie patrzeć dłużej na uśmiechniętego Wacława...

Starosta był do ostatka grzeczny, ale od podpisania aktu miewał pewną minkę szyderską, protektorską... która żołnierzowi nie smakowała.

Nie śmiejąc ani sobie, ani kasztelanowi przypisywać tak szczęśliwego końca wypadków, nie będąc pewnym, czy to był winien żonie, nie umiając sobie wytłómaczyć Karola, Wacław radby się go był już pozbyć z domu. Powinszowania dobrych przyjaciół, dziwiących się, iż tak cudownie wyrwać mu się udało z niebezpieczeństwa, napelniały go jakąś goryczą i niecierpliwiły. — Był prawie upokorzony.

Nadeszła wigilia wyjazdu.

Karol wszedł do rotmistrza Poręby, który wzdychał, drepcząc po swej izdebce.

— No, stary druhu — rzekł — a cóż się nie domyślasz nic? widzę, że ani się zabierasz pakować! Może ci brak sił, ochoty i determinacyi, aby sięść na wóz i jechać ze mną do Sarnowa?

Rotmistrz rozczulony przypadł mu do kolan.

— A! mój ty dobry, anielski Karolku — pozwól mi się tak nazwać na ten raz... czyż tybyś chciał wziąć sobie na kark takiego niedołęgę... a wyrwać mnie z tego... piekła?

— Widzisz, po to przychodzę, abym cię gwałtem ztąd porwał...

— A! Bóg-że ci zapłaci! — ręce do nieba podnosząc, zawołał Poremba i zalewając się łzami — dobroczyńcą jesteś... a ja ci... długo już ciężarem nie będę...

Po tej radości wybuchu stanął rotmistrz zadumany...

— Jadę, jadę — rzekł w pół sam do siebie — chociaż... tyle się tu lat przebyło! człek wrosnął... ciężko się wyrwać... ale z wami! na kraj świata!

I znów za kolana uściśnął Karola. — Widać było, że walczył z sobą, chwycił swe ubogie łachmany stare, poczynął pakować i znów porzucił. Przypominał sobie, że buty były u szewca, że mu ktoś winien dwa złote... a doma go niema... drapał się w głowę.

Karol uśmiechając się, ofiarował nowe buty i spłatę za wierzyciela.

— Ale bo to... widzisz panie—mówił rotmistrz—tuby już należało stare kości położyć... a ja wam będę ciężarem. Gdzie mi już jaka nadzieja zaświta! co mi po kilku dniach swobodniejszych. kiedy je rdza tęsknoty jeść będzie...

Przewidując te walki, Karol nie odszedł, dopóki stanowczo go nie skłonił do wyboru.

— Kochany rotmistrzu — dokończył — kiedy ja mogę opuścić Skalę, powinienes i ty to, choćby dla mnie uczynić, aby mi mniej tęskno było... będziemy ją sobie w Sarnowie wzajem przypominali.

Wieczorem przyszło pożegnać Wacława. Odwiódł go Karol na stronę, przybierając postawę surową a poważną.

— Kochany kuzynie — rzekł — pochlebiam sobie, żeście mnie już trochę poznali. Sposobność mieliście ku temu. — Mam do was prośbę jedną... Oddaję wam Ewę w opiekę... starajcie się, by była szczęśliwą... jestem jej bratem, zastępuję rodziców i rodzinę całą... Prawa czuwania nad jej losem nie wyrzekłem się i nie wyrzekę... Pomnijcie... że mogę was kiedyś spytać o rachunek.

Starosta zmieszał się i oburzył nieco.

— Ale z kądże wątpliwość o jej szczęściu, a o mojem przywiązaniu powzięliście? — zapytał.

— Nie wątpię dotąd ani o jednym, ani o drugim... spełniam tylko obowiązek, prosząc, byście czuwali nad sobą i nad nią...

— Masz mnie więc za potrzebującego nauki moralnej, kochany kuzynie? — szydersko spytał Wacław.

— Zdaje mi się, że każdemu z nas się ona przydać może...

Wacław, nie wiedząc już jak z tego wyniść, w żart musiał obrócić surową naukę i przelknął ją, udając, że nie rozumie.

Karol poszedł do Ewy.

— Jutro jadę — rzekł do niej głośno — żegnam was, kochana siostró, mówię tylko do widzenia... Wyście mi zostali jedną z rodziny i najdroższą... czuwać będę nad tobą i nad tą kolebką... serce moje poczuje zdaleka, jeśli tu będę potrzebny...

Wziął jej rękę drżącą i pocałował z uszanowaniem.

Ewa, wzruszona także, schyliła się do kolebki, wyjęła z niej małego Tadzia i milcząc, podala go Karolowi...

— Pobłogosław!..

W imię wszystkich naszych... dziada, ojca, matki... zmarłych a żyjących w niebiesiech, błogosławię go, niech rośnie na pociechę twoją, na sławę imienia, na służbę kraju...

Pocałował dziecię w czoło...

Sklonił się i wyszedł szybko...

Krótką noc czerwcową przemarzył, chodząc upiorem po dworze i starym ogrodzie... nabierał sił, poił się wspomnieniami...

O brzasku już konie były gotowe, wozy zaprężone, po żołniersku, na oznaczoną godzinę... tylko rotmistrz jeszcze wahał się, oczekując na te nieszczęśliwe buty, z którymi mu się rozstać żal było. Wszyscy dziecinniejemy na starość. Karol z suchem okiem usiadł na szpaka, który mu jego pierwszego konia przypominał... karawana potoczyła się drogą w milczeniu.

Na opakowanym wozie, oglądając się jeszcze na dwór, siedział rotmistrz Poremba, ocierał łzy i trochę się może gniewał na Karola, że go ztąd gwałtem niemal porywał.

Droga prowadziła wedle kościoła i cmentarza...

dzwoniono właśnie na mszę ranną, zamówioną umyślnie, żalobną...

Zdziwił się Karol, gdy wszedłszy na cmentarz, postrzegł na nim Ewę, która go wyprzedziła i modliła się u grobowca matki... był jej wdzięcznym za tę odwagę i dowód przyjaźni. Razem milczący weszli do otwartego kościółka... Ksiądz wyszedł w czarnym ornacie... Odprawił mszę za duszę wszystkich drogich umarłych, Ewa płakała... Karol kamieniał z żalu... Teraz tak mu się zdawało trudnem, strasznem opuścić osieroconą Skalę, zostawiając w niej biedną kobietę na pastwę człowieka bez sumienia!.. Widać było, jak to rozstanie i ją przejmowało trwogą...

Wyszli nareszcie... razem... obeszli groby, klękając na każdej mogile, a Karol znalazł i swój pomnik, który mu postawiła matka.

— Nie zrzucajcie go — rzekł, prosząc — niech on tu czeka na mnie.

Obszedł tę marmurową, strzaskaną kolumnę, przeczytał napis, popatrzył na szablę i godła wojskowe, wyryte na niej, łza mu się zakręciła w oku... Ewa szlochala...

— Nie żegnam was, nie żegnam — odezwał się, zmagając na siły, Karol — wrócę tu pewnie, kiedy? jak? to Bóg wie... ale powrócę... zachowajcie mi pamięć dobrą i nauczcie Tadzia, aby i on choć trochę mnie kochał...

Ewa rzuciła mu się na szyję... on uściśnął jej rękę, koń rżał... trzeba było jechać — w świat!

Majętność Sarnów, którą był Karol zadzierżawil od Krzywaczyńskiego, należała do tych zapadłych kątów Polesi wołyńskich, w których naówczas nikt prawie żyć i mieszkać nie chciał... tak trudno tu było starczyć sobie i załudnić pustynię, pozbawioną niemal wszelkich żywszych stosunków z resztą kraju. Ale

miała ona urok wielki dla skolatanego, jak Karol, człowieka: puszcze te przypominały mu Amerykę; lasy, błota, piaski. cisza... Kraj dziewiczy wyzywał do pracy... Mało jeszcze szlachty mieszkalo wówczas na poleskich majątkach, które po większej części należały do rozległych dóbr i fortun książęcych.

Były to majątności rozległe, prawie cale lasami porosłe, z mało jeszcze wydartemi polami; rolnictwo ledwo starczyło na potrzeby miejscowe, dochód główny po staremu stanowiły barcie, osypy, wyroby lasow i wypalanie potażów... Grunt też na pagórkach uprawnych nie był żyzny, a niziny urodzajniejsze co wiosna prawie podtapiało. Siano, jarzyny na łęgach, egipskimi wywdzięczały się urodzajami, ale rzadkiego roku nie zabrały ich świętojańskie wody.

Wieśniak był raczej rękodzielnikiem niż rolnym gospodarzem, nawykł do korzystania z boru, wyrabiał koła, plozy, bednarzył, siedział za krosnami, robiąc płótno i sukna. Życie szło wolno, opieszale, trochę dziko... ale wygodnie i niegłodno. Często na rozległości tysięcy włók, okrytych sosnami i dęby niebotycznymi, przerzniętych rzekami spławnymi i mnóstwem strumieni leśnych, nie było więcej nad jedną wielką, starożytną osadę, przy pogańskim jeszcze drzemiacą horodyszczu... Gdzieniedzie tylko u brzegów puszczy, świeższe kolonie mazurów, do wyrobu klepki, belek i wypalania potażów ściągnięte, zwolna trzebiły niedostępne gęstwiny...

Zwierzta było więcej niż ludzi. Losie czasem zapędzały się pod wioski... a wilki zimą chodziły stadami; borsuk i ryś pstry nie był osobliwością... Wieśniak nawet miał tu łowy królewskie, bo tak znalazł ostępy, jamy, gniazda i łóżyska niedźwiedzie, i lisie chody, i cietrzewie toki, iż sobie szedł do boru, jak do spiżarni.

A chciało mu się nową postawić chatę, dobie-

ral sobie takiego drzewa, jakiego nie widywano i w Gdańsku... Obalonej sosny, jak zwierzęcia zdechłego, niktby nawet i na opał nie ruszył.

Tak wyglądał ów Sarnów, zadzierżawiony tanio przez Karola, bo podkomorzy nic prawie z niego nie miewał, prócz suszonych grzybów i marynowanych rydzów.

Było to niegdyś zamczysko, ale z niego wały pozostały, a wśród nich mieścił się teraz dwór odwieczny, drewniany, pono jakieś myśliwskie schronienie dawnych panów Sanguszków, w ostatnim wieku opuszczony i podupadły.

Gospodarstwo nie lepiej od domostwa wyglądało... wszystko było zaniedbane, bezpańskie... Gdy z wiekowego zaspania przyszło się ludziom otrząsnąć pod czynniejszym kierunkiem żołnierskiej dłoni, zrazu się zafrasowali i wylękli...

Sądziło, że te nowości ich pogubią, tłumaczyli mu się, iż u nich, od ojców, praojców, zawsze tak bywało... On im wmawiał łagodnie, że dawniej wszędzie było inaczej, a teraz musiało się na lepsze odmienić... Trudno było wyrwać ich z tego życia, wlokącego się żółwio, jednostajnie i nędznie. Karol wszakże postanowił być odrodzicielem tej pustyni, czynność jego pobudziła nowe i niespodziane prądy dokola.

Kraj był dziewiczy, pelen bogactw nietkniętych, brakło mu człowieka myśli i pracy... Drzemalo to wieki, a ze snu wieków przebudzić niełatwo, często klęsk potrzeba, ażeby wstrząsłszy do głębi, życie tchnęły w obumarłe ciało.

Żołnierz wszakże jest najlepszym pionierem a rolnikiem, gdy chwilowo złożywszy oręż na sochę go zamieni—potrzeba zajęcia, karność, do której nawykł, wdrożenie do pracy ciężkiej tworzą zeń doskonałego gospodarza. Karol wprędce przelamał niechęci, pozyskał serca ludzi i począł przetwarzać Sarnów.

Ale zamknął się w nim i zasklepił oddzieliwszy od ludzi i świata.

Wiódł życie prawdziwie samotnicze, które starał się nieco na sposób i wzór dawnego w Skale urządzić... Powtarzał tu wszystko, co mógł naśladować ze starego gniazda...

Poubierał odnowiony dwór w przywiezione sprzęty stare; ustroił sobie pokój jeden jakby dzia-dowski i zrobił zeń komnatę dziadów bo tu zawiesił wizerunki zabrane w Skale... Miał też kaplicę naprzeciw okna i ogród stary z lipami...

Wieczorem łudził się niejakiem podobieństwem do ogrodu w Skale, tylko tu rzeka szeroka Slucz, oblewała waly starego zamczyska i opasywała sady. Po za nią widać było sine mury lasów, któremi świat się ten kończył... Karol mógł tu o wszystkim za pomniec, nigdy klasztor żaden ciszą uroczystszą nie odgrodził się od reszty ludzi.

Na jedno tylko nastawiał ucha niecierpliwie pu-stelnik, czy gdzie nie szcęknie szabla... czy nie zawołają ochotnika.

Ale to były lata wielkich przygotowań, przelomu, wewnętrznej pracy ku lepszej, jak się zdawało, przyszłości – splywały one niby wróżąc jasną na nie-bie jutrenkę.

W Polsce stan ducha a umysłów zwiastował odrodzenie... Rośli ludzie i charaktery, gorzala we wszystkich żądza podźwignięcia się z upadku i upo-korzenia. Lepsza też przyszłość zdawała się zwiastować wszędzie, a serca poczciwe nad przygotowa-niem jej pracowały.

Ale ta praca okolo przyszłości łatwą nie była...

W tych to latach rozpoczęło się powolne przetwarzanie starej Polski wśród najmniej sprzyjających mu warunków. Z konfederacją Barską runęła bezpowrotnie Polska szlachecka, rycerska, poetyczna, wyjątkowe nieodżałowanego wdzięku i powagi zjawisko, które już istnieć nie mogło o białym dniu nowych dziejów, wśród całkiem zmienionego świata... Rycerz stary zadumany, zakuty w zbroję, ani się opatrzył, jak go towarzysze opuścili, jak się sam jeden pozostał... na mogile, z której wyżyny spoglądał jeszcze ku przeszłości.

Istnienie tej szlacheckiej rzeczypospolitej, której Pułascy byli ostatniem uosobieniem—stawalo się niemożliwe.

Stare formy życia opierały się próżno temu prawu odrodzenia, przeszłość kruszyła się, pękała. gmach rysował, nie pomagały podpory, trzeba było z ruin wznosić nowy.

Nieunikniona walka wewnętrzna przypadła nie szczęśliwie na chwilę właśnie, gdy Polska całych sił potrzebowała do oparcia się z zewnątrz zagrażającemu niebezpieczeństwu. W tem przesileniu wewnętrznem jątrzyły się umysły. Ojcowie stawali przeciwko dzieciom, bracia przeciw sobie... kolebki przeciw grobom. Jak w każdej walce, zjadłość boju pchała na krańce. Z jednej strony występowały średniowieczne upiory, trzymające się ślepo trumny zbutwiałej—z drugiej roznamietnieni utopiści, tracący ziemię z pod nóg i pamięć położenia.

Gdyby nie boleść, którą ta epoka napawa, jakże zajmującym byłby obraz lat, które dzielą sejm Ponińskiego od czteroletniego sejmu!! Ta walka organiczna, co za śliczna dziejów karta!!

Naród zwyciężony, upadły—podnosi się, dźwiga

i z obliczem krwią jeszcze i błotem obryzganem poczyzna pracę odrodzenia.

Wszystko, co w nim pozostało pocziwego, szuka trudu, pragnie ofiary... bada drogi, znajduje je instynktem lub mylnemi się obłąkiwa, sądzić, że wiedzą do celu. Nie zbywa też na poświęceniach, na heroizmach, nawet najtrudniejszych dla charakteru narodowego, bo powolnych—codziennych, nieocenionych i niedostrzeżonych. Szlachta poczuwa się już osamotnioną i wyciąga chętną dłoń do reszty narodu... gdzieś tam ślepi krzyczą ze strachu o kieszenie, miłość własna upomina się przywilejów, ale przywódcy idą dalej. a prąd wieku łódź ich niesie...

Wśród tego zamętu król pozostaje zawsze, czem był od początku; istotą obudzającą litość swą słabością, miotaną, gdzie wiatr powieje, niepewną nigdy, co począć, rzucającą się na wsze strony, usiłującą przejednać wszystko, a nie zaspokajającą — nikogo. Straszny dramat tego wdowiego życia dokonywa się pod nieubłagany los naciskiem.

W chwilach pokoju król rośnie na Augusta, na Ludwika, na złotego monarchę złocistego wieku literatury w godzinach zawikłań spada na Sardanapala teatralnego, szychowego, bez uczucia godności, bez odwagi i siły do ofiary.

I żyć nie umie i umrzeć nie chce.

Karol poglądał na to zdala wzrokiem starzejącego się filozofa... Życie dlań nie miało uroku, było obowiązkiem, zadaniem do spełnienia, tęsknotą. Na progu straciwszy wszystko żywe, karmił się wspomnieniami, żył w świecie umarłych.

Z szerszego widnokreślu rzadko dochodziły go wieści, które przyjmował obojętnie...

Od Skąty rzadko też przysła wiadomość — czasem chyba Krzywaczyński coś zagadkowego napisał, jakby martwić nie chciał, a pocieszyć nie miał czem...

Stał się tedy z musu, z powinności, z niemożności zrobienia czem innem — rolnikiem. A oddawszy się roli, trudowi koło niej i życiu prostemu, na którego utrzymanie ledwie tyle potrzebował co parobek, nie wiedząc sam jak, wprędce przysporzył majątności i znalazł się prawie bogatym z tego grosza, który był wyniósł, odrzekając się ojcowizny.

Grosz ten, pobłogosławiony z niebios, rósł jakby czarodziejsko w rękach...

W chwili, gdy się czteroletni sejm rozpoczynał, Karol, nie myśląc wcale o z bogaceniu się, najmniej troszcząc się o to, został niemal z musu, na usilne prośby Krzywaczyńskiego, który majątku chciał się pozbyć — dziedzicem Sarnowa. Majętność ta, dzięki jego staraniom, z najlichszej stała się kwitnącą; ludność wzrosła, założono na trzebieżach parę nowych folwarków, pokopano rowy, osuszono łąki, uporządkowano lasy — dwór wyglądał weselej, stado i konie liczyły się do najpiękniejszych na Wołyniu, który przecie obfitował w stadniny.

Karol, zamknięty, zawsze trwał w postanowieniu unikania ludzi, świata i zawarcia jakichkolwiek stosunków, mogących związać przyszłość; chciał być wolnym na każde zawołanie.

W tem oczekiwaniu czegoś nieokreślonego trwał nieporuszony, nie dając się ani powołać do urzędu, ani zmusić, jak wielu chciało — do ożenienia — patrząc na Saracenkę wiszącą na ścianie, odpowiadał z uśmiechem: — To żona moja, innej mieć nie będę — tej przysiągłem...

Chociaż podkomorzy Krzywaczyński w każdym liście swoim coś o Skale donieść czuł się w obowiąz-

ku, starodawnym sposobem umiał tak pisać, że nigdy go dobrze zrozumieć nie było można... Z tych enigmatycznych wyrażen domyślać się tylko godziło, że nie było się czem pocieszać. Wacław dojadł majątku żony, opuszczając nieszczęśliwą z dziećciem na wsi, nie troszcząc się wcale o wychowanie chłopca, a sam dokazując po Warszawie. Przybywał tylko czasem, gdy już nigdzie nie mogąc pieniędzy pozyszczyć, miał nadzieję wymódl je od żony. Ewa opuszczona nie skarżyła się, nie dawała znaku życia, a cała oddała się wychowaniu dziecięcia. Karol, będąc szczegółowiej uwiadomiony o tem, kilka razy przez ręce podkomorzego przesłał dla Tadzia pamiątki, które mu do nauki posłużyć mogły; ale wprost ani pisać, ani zgłaszać się nie śmiał.

Tak bohater nasz starzał się powoli—ale starość spodziewana, oczekiwana, opóźniała się; liczył lata, a nie czuł ich i nie widział na sobie; czerstwe siły, młodość serca, życie ostre, mimo pracy, utrzymywały go niezmienionym. Nie pragnął on tego życia, bo się już po niem niewiele spodziewał, a życie twardo go się jąwszy, trzymało. W tej pustyni lata upływały jak miesiące, dni jak chwile, z niepochwyconą szybkością. Dzień do dnia był podobny, różnicy między niemi dostrzedz było trudno i pamięcią się w nich polapać.

W sercu i na twarzy Karol pozostał niemal młodzieńcem takim, jak ze Skały wyruszył, ale też nie szukał przygód, wzruszeń, wypadków i nie szafował uczuciami... Sam on dziwił się, widząc starzejących, gdy w sobie czuł, że zestarzeć nie mógł. Umysł też zachował świeżość dawną, a serce całą żywość lat pierwszych.

Już prawie dziesiątek lat dobiegał od przybycia jego do Sarnowa. Dzień był jakoś jesienny, pochmur-

ny, smętny... Szeroki krajobraz poleski przybrał barwy ponure, oprócz jaskrawo-zieleniejących pól na ziemię zasianych, wszystko było szare, żółkłe, obumarłe...

To usypianie natury, przed którem cywilizowana społeczność ucieka i kryje się w murach miast, na wsi jest jakby—straszmem *memento mori*, odśpiewywanem człowiekowi, aby o śmierci nie zapominał. Najsilniejsza dusza wzdryga się na ten obraz opustoszenia i nicości.

Niebo, okryte tumanami bez barwy, ziemia spłowiała, łądogami suchemi najeżona, drzewa jak skielety obnażone... wody zastygłe — błoto zgęśle... brak stworzeń wszelkich... stada kruków i dzikiego zwierzza, obejmujące panowanie na tym mogilniku szarym—oddech powietrza, wycie burzy, wszystko to usposabia do smutku, do rozpaczyny prawie. Słońce ledwie się rzadko ukaże, noce nieskończone — często dzień cały jest tylko mrokiem jakimś, w którym za mgłami fantastyczne obrazy śmierci migają.

Takiego to dnia jesieni, gdy około trzeciej z południa zmierzchać zaczynało, a wiatr ciężki napędzał obłoki, wlokąc je nisko opadłe nad ziemią, Karol zsiadał właśnie z konia przed dworem, wróciwszy z przejażdżki gospodarskiej, gdy za sobą we wrotach ujrzał kogoś, co mu się dziwnym wydał żebrakiem...

Stojący w ganku właśnie, okulawiały nieco, dla jednej nogi nabrzęklej, rotmistrz Poremba, który wyszedł na spotkanie Karola, spojrzawszy na tę wlokącą się postać, ruszył ramionami i wąsami niespokojnie. Był już biedak podejrzliwy bardzo na starość.

— Hm! co to za indywiduum? co to może być? — mruknął pod nosem.

Karol i on stali wyczekując, aż podróżny coraz żywiej idąc, zbliżył się do samego ganku.

Oryginalny jego strój i postać mogły w istocie obudzić nieufność rotmistrza, wyglądał bowiem, jakby

z innego przybywał świata. Pod spodem miał na sobie podartą i zmiętą odzież krojem cudzoziemskim, wcale do podróży niewygodną, fraczek, spodeńki do kolan, pończochy, trzewiki i skórzane kamasze. Na to klimat go snąć zmusił wdziać prostą, szarą, chłopską, kupioną gdzieś na drodze przechodzoną siermięgę, w rękę trzymał kij. Twarz przychodnia nie była stara, ale zbladła, zwiędła, znękana... a oczy jakby obłąkane... Wyraz boleści ją przejmował.

Popatrzał na stojących i lice mu się zaczęło rozjaśniać.

— A! panie! panie, czyż to pan mnie nie poznaje? — zawołał, zrzucając kapelusz i wyciągając ręce...

Karola głos ten dopiero ocucił.

— Staszek! na Boga! tyżes to? — krzyknął, rzucając się ku niemu.

— A! to ja, kochany paniczu, to ja! — i padł mu do nóg na wschodkach biedny włóczęga, którego tak zlamala nędza i tułactwo...

Zkądże? jak?

Chciał opowiedzieć biedak, ale z radości wielkiej, przykląkszy, słaby już będąc... zatoczył się i obalił... Karol pospieszył, chwytając go w silne ramiona...

— Chodźże, chodź!

Zbiegli się ludzie dworscy, zaniesiono Staszka na łóżko wygodne, jakby owego syna marnotrawnego, powracającego do rodzicielskiego domu. U rodziców pewnie czulszemby sercem nie mógł być przyjęty... biedny człowiek...

Los Staszka był losem wielu podobnych jemu tułaczów, co na tę wędrowkę nie wzięli z sobą wielkiej potęgi ducha i zasobów serdecznych...

Gdy Karol z Paryża miał już odpłynąć do Ameryki, Stachowi zabrakło jakoś odwagi, ochoty, sam

pan nie doradzał mu tak dalekiej podróży... Został więc w Paryżu zrazu pod opieką kilku panów polskich, do których dworów, jeszcze licznych, chętnie go przyjmowano. Zmienił tak panów kilku, aż to służebnictwo mu się sprzykrzyło... Grosza był uzbierał trochę, myślał, że we Francyi, wydającej mu się jakoś wesołą i łatwą do życia, wśród ludzi na pozór zyczliwych i gościnnych — osiedli się.

Czarne też oczy ładnej dziewczyny przytrzymały go nad Sekwaną... Dziewczę to było istną paryżanką, żywą, dowcipną, zręczną, wygadaną, a bez... serca, choć z tak szczęśliwym temperamentem, że gdy chciała płakać, mogła na zawołanie. Był to dar, którego jej wiele zazdrościło rówieśnic... Urodziła się na komedyantkę... To też Staszka uwikłała tak, iż się dla niej wyuczył po francusku, przebrał po francusku i gotów był zostać francuzem. Kazała mu się z sobą ożenić — choć była ubogą i miała familię. — Stach bez namysłu poszedł do ołtarza.

Był to tylko prolog dramatu.

Założyli mały sklepik na przedmieściu św. Antoniego, handelek szedł wcale nieźle, ale jejmość się stroiła nadto... a dziecię pól i wsi tęsknić zaczęło i blednąć w tych murach, w tym niezrozumiałym szumie!.. Kraj, który zrazu nie wydawał mu się obcym, co chwila mniej stawał się swoim... brakło mu zrazu rzeczy niewielu, potem — wszystkiego. Tak to zawsze na cudzej ziemi: na chwilę człek do niej przystaje, potem otwierają mu się oczy, serce i wszystko go od macochy odpycha... Pierwsze dni łatwe, ale gorzkie — ostatnie.

Po miodowych miesiącach, latach młodszych, które ozlacała miłość, umiejętnie podsycana przez paryżankę — nastąpiła rzeczywistość naga, biedna, przykra.

Staszek z kochanką przeszedł powoli na wyrobnika, dziewczę z czulej małżonki na swarliwą gospozię, która dniem i nocą nie dawała pokoju, a potrze-

bowala się klócić z temperamentu i zwyczaju. Życie ze słodkiego marzenia stało się męczarnią — krótkie też powodzenie początkowe przebrało się; klęski i niedostatek poszły za niem. Pierwsza mała strata otworzyła drzwi... ruina nie potrzebowała długiego czasu. Im Staszek wysilał się bardziej na powetowanie, tem szybciej szedł do zguby.

Z przekupnia trzeba było pójść na prostego parobka. Młoda żona zaczęła mu się bezwstydnie bala-mucić z innymi, on kochał ją i płakał biedaczysko... Gdy jej wyrzucał niewiarę, zakrzyczala go, zatupała nogami, w końcu rozsłochała się, omdlała, a Staszek sobie gburowstwo swoje wyrzucał. Wieczorem jejmość śmiała się z tej prostoty. Istne piekło rozgościło się w domu...

Jednego roku potem, w ślad po sobie dwoje dzieci, któremi się Stach cieszył, umarły ze szkarla tyny, zostali sami — matka się upamiętała i płakała, on na nowo mocniej się do niej przywiązywał. Nędza się zwiększała, żona schła i wreszcie poszła za dziatkami do grobu... Nie była ona złą, ale płochą uczyniło ją wychowanie i przykłady...

Staszek, zostawszy sam, coraz bardziej stęskni-ony, złamany, pożałował kraju i postanowił powrócić. Jednego dnia opuścił Paryż bez grosza, o kiju i powlókł się do domu.

O żebranym niemal chlebie przeszedłszy Europę, dobił się tak do Skąty, ale tu zastał pustynię... Ani twarzy znajomej, ani człowieka życzliwego. Matka dawno poszła na mogiłki, chatę nawet młynarzową rozebrano... Staszek siadł koło rumowisk pieca, który pozostał na wygonie, i kilka dni tam przeplakał.

Chciał zamieszkać na wsi, nie było przylgnąć do kogo... wziął więc kij znów i postanowił dowlec się do swego panicza. z posiłkiem otrzymanym od podkomorzego

Tego rozbitka nawet ciepłe serce Karola odżywić nie mogło. Był to tułacz, co straciwszy ojczyznę, nabył tylko nieuleczalnej tęsknoty i nigdzie się już przyswoić, nigdzie osiedzieć nie mógł. Serce ciągnęło go raz tam, gdzie cierpiał, to znów gdzie był szczęśliwy. Obyczajem stał się obcy ziemi swojej, język sobie złamał, nie mówił żadnym pocziwie, a prawdę rzekłszy — skosztowawszy wiele, do niczego nie był zdolny. Z tego niepokoju życia wyniósł potrzebę ruchu i zmiany, która mu w niczem długo wytrwać nie dawała... To, czego dziś najgoręcej pragnął, jutro stawało się wstrętnym i nieznośnym.

I tam, z kąd przyszedł, i tu, gdzie powrócił, ludzie jego, on ludzi zrozumieć nie mógł.

Jakby choroba jakaś jadła nieszczęśliwego, wszędzie mu domieszywając jadu i trucizny.

Młody jeszcze czuł się starcem, przeżywszy wiele, w nic nie ufał.. słowem była to resztką człowieka, którego chyba trud, surowy mus, powaga zwierchnia wyleczyćby mogły.

Nie rychło nawet zdrowe powietrze Sarnowa i cisza pustyń sily mu przywrócić potrafiły. Karol zajmował się nim jak przyjacielem, czuł bowiem, że część przynajmniej losów nieszczęśliwego miał na swem sumieniu. Wziął się więc troskliwie do trudnego zadania leczenia tej chorej duszy.

Otóż na jakich zajęciach płynęło to życie w Sarnowie; rozmowa z rotmistrzem zestarzałym, zdzieciniałym niemal, ze Staszkiem, który był obalamucorny i zwichnięty, gospodarka, książki, las, łowy, lud prosty...

Po wyczekiwaniach długich, posłyszał Karol — o podróży Stanisława Augusta do Kaniowa. — Potem otworzył się jakby w nagrodę ów sejm wiekopomny, a razem z nim serce Karola otwarło się nadziei, ra-

dości... Chciał rzucić sochę, wejść do wojska... pomyślał o Kościuszcze, że porzuciwszy Amerykę, miał wstąpić do wojsk polskich...

Pragnął go zobaczyć... ale dziwnie składały się okoliczności, iż goniąc za nim, nie mógł się z nim spotkać nigdzie. Napisał wreszcie i otrzymał odpowiedź, która zamiast zachęcać go, aby wstąpił do wojska, radziła mu to na później odroczyć... List był smutny, jakby rozczarowany i więcej spoźnic wający się od jutra. Karol więc pozostał na wsi.



Księga VIII.

1794.

Wielkie nadzieje 1791 roku już w następnym zabite zostały. Karol, który, pomimo listu Kościuszki, wybierał się już przyłączyć do partyi ukraińskiej, usłyszał o cofaniu się jej nagłem pod Warszawę... Biło mu serce żalem na wieść o bitwie pod Zielińcami, na świetne zwycięstwo pod Dubienką; koń i rynsztunek był gotowym. Następne wypadki zmusiły go do wyczekiwania, chwilowa przemoc oburzała. Zrozumiał dobrze, iż Kościuszko, opuszczający służbę, długo bezczynnym nie mógł pozostać; wychodził on z szeregów, którym hetmaniła Targowica, aby się do innych zaciągnąć.

Nowa konfederacya nie mogła złudzić nikogo i sama się już ludzi przestała.

Zamęt ów, panowanie ludzi bez czoła i sumienia, podejrzanych lub oszalałych, mogło trwać długo?

— To się musi przesilić! — szeptano. — Kara Boża ustąpi przed miłosierdziem Jego...

Karol zrazu mówił, jak inni, czekał ze wszystkimi zmiany, naostatek dłużej już wytrwać nie mógł.

Coraz gorsze wieści wprawiły go w rozpacz prawie, domyślał się pod niemi innej prawdy nad tę, którą znał i widział, chciał się przekonać zblizka.

Człowiek ten, zamknięty długo w ciszy lasów, zgięty nad zagonem, obudził się jednego ranka z gwałtownem pragnieniem wybieżenia w świat.

Rotmistrz Poremba, który już włóczył się tylko o kiju ze swej izdebki do jadalni, a czasem na ławkę w ganku, zdziwił się, gdy mu przy wieczerzy zapowiedział Karol niespodzianie, że wyjechać będzie musiał...

Wyjechać! w głowie się pomieścić nie mogło staremu, bo Karol niekiedy do kościoła, rzadziej do miasteczka, a ledwie w rok raz w sąsiedztwo mógł się wybrać, dalej zaś od lat kilkunastu nie wyrzwał nigdy, ani okazał chęci wydobycia się za poleskie lasy i błota.

Zrazu Poremba nic nie zrozumiał, myślał, że to będzie kilkogodzinna wycieczka i zapytał:

— Wszakże pan na noc powróci?

Karol się uśmiechnął.

— Nie wiem ani kiedy, ani jak wrócę — rzekł.

— Więc, dokąd? — niespokojnie przerwał Poremba — dokądże?

— Ba! — rzekł gospodarz — szczerze ci powiem, że ściśle wzięwszy, nie wiem nawet dokąd jadę...

Rotmistrz patrzył nań, nie rozumiał, ale mocno był zafrasowany...

— Pojmiesz mnie łatwo, kochany rotmistrzu — odezwał się, gdy zostali sami.

Strasznie, strasznie dotąd spełniają się nam przepowiednie księdza Marka... ale może też Bóg da się nareszcie przebłagać cierpieniem.

Jadę, mój rotmistrzu — po język, jak mówiono niegdyś. Czuję, że jeszcze mógłbym się na coś przydać... alem już na krańcu siły i niecierpliwszy jestem, bo długo czekać nie mogę. Dość wyczekiwałem i dożyłem zawodów...

— Ale mój dobrodziej — odpowiedział rotmistrz, załamując ręce — gdyby tak trochę dawniej — nie mówię... świeżało coś, a dziś!...

Karol się uśmiechnął.

— To prawda — rzekł — ale ty wiesz, że naszą wiarą odwieczną było — im gorzej, tem lepiej.

Stach, który próbował już leśniczowstwa, ekonomstwa, rzemiosła, handlu... zażądał towarzyszyć Karolowi... Ten odmówić mu nie śmiał, jak się nie odmawia choremu, któremu już nic zaszkodzić nie może.

Droga instynktowo wiodła Karola ku staremu gniazdu, ku Skale i Krakowu... zdawało mu się, raz wyjeżdżając, że dla niego innej niema.

Bystre Karola oko, które dawno nie patrzyło na kraj, tylko z cichego poleskiego kąta, gdzie nic nie dochodziło prócz niezrozumiałych jęków, postrzegło w całej nagości położenie.

Nie można się było łudzić — chwila była zwiastująca wysilek rozpaczliwy... Karol nareszcie przywłókł się do Skaly... konie stanęły u bramy cmentarzowej, poszedł pomodlić się na groby... Spojrzał ztąd na dwór, na ogród, targnęło go tam serce... jechać, czy nie?

— Po co? — odpowiedział sobie w duchu — nie! byłoby to słabością, dziś mniej, niż kiedy słabym się być godzi.

Stach błagał go oczyma, ruszał z niecierpliwości ramionami... Karol kazal zwrócić do Krakowa...

Na każdym kroku spotykali wspomnienia — to Staszek się wzdrygnął i westchnął — to Karol spojrzal i lza zakręciła mu się w oku... Gdzie były te czasy, kiedy się tu uwijało z koniem i strzelbą a myślała wesola!

Nie śmieli nic mówić do siebie, ale tak się dobrze rozumieli...

Nade drogą stało karczmiszko stare u granicy skalskich dóbr, gospoda zajezdna nasza, jakich dziś już w zapadłych kątach chyba szukać potrzeba... Rzadko do niej wprowadzie szlachcic zajeżdżał ongi, bo miał zawsze albo we dworze krewniaka, lub na probostwie chętną gościnę u księdza... trafiało się przecie, że mu się nowego kontusza brać nie chciało, lub że był w sporze i waśni z krewnymi, czasem się więc wóz i do gospody zatoczyć musiał.

Było miejsca dosyć, dla szlachcica, dla wieśniaka, na bryki furmańskie, a choćby na cały oddział kawaleryi. Żyd naturalnie gospodarzył tu, szynkował, cierpiał, aby na życie zarobić; cięższej doli nad tę, w czasach gdy szlachta była rozhukana, pojąc trudno.

Gospoda stara była, jak świat... podpierano ją, przestawiano częściami, przesypywano ściany, dociosywano słupy, ale wyglądała zawsze, jak przed wieki, gdy może była obrad gminy i schadzek ludu stolicą... Szeroka, ogromna, z wysokim dachem, na pół w słupach i galeryi, w środku istna arka Noego. Koń żydowski z biedką, fura ze szkapami chłopskimi, osiodłany podjezdek szlachecki, bachmat z siodłem paradnem, krowa gospodyni, kozy gospodarza, gęsi, kaczki, bachory i pieszczone cielę, filozofujące w zagrodzie, mieściło się tu wszystko, nie licząc

wróbli, których gniazda gnieździły się w dachu i jaskółek, oblepiających rzedem poddasze. Gospoda taka była sama sobie całym maleńkim światem, musiała podróżnemu dostarczyć wszystko, począwszy od napoju i jadła, aż do rękawicy i koka, świecy i młota, wreszcie politycznych i handlowych wiadomości. Była ona w dodatku przepręgiem owej tajemniczej poczty żydowskiej, która kraj wszerz i wzdłuż przerzyniała we wszystkich kierunkach. Życia tu czasem więcej bywało, niż we dworze, a w posuchę posyłano go zaczerpnąć do arendarza, bo na tym przesmyku każdy coś fałszu i coś prawdy, przejeżdżając, zostawił.

Nie chciał zajeżdżać do dworu Karol, ale konie zmęczone zmusiły go tu wypocząć. Same one wwozły w otwarte wrota. Karol pamiętał, że tu żył i zmarł ów pocziwy Abraham, który w chwili odjazdu je o, udając kapitalistę, przyniósł na drogę macierzyńskie dukaty. Teraz starego już dawno nie było na świecie, syn niemłody także, nastąpiwszy po nim, gospodarzył, bo karczmy, jak królestwa z łaski Bożej, szły z pokolenia w pokolenie, dziedzictwem. Pan miał prawo elekcji, ale go rzadko używał.

Młodszy Abraham był wykapany ojciec nieboszczyk, z rozumu i z serca podobny doń, jak dwie krople wody. Człek milczący, smętny, noszący swą dolę, jak przystało Izraelowi, z pokora... szanując niezlomną wolę Bożą.

Z Karolem nie widzieli się już kilka lat dziesiątków, nie dziw, że gdy wszedł do izby, w której dosyć było łudu — nie chcąc się dać poznać, — Abraham pokłonił mu się zrazu jarmulką, jak obcemu.

Ale skłoniwszy się i zmierzwiwszy go oczyma, stanął wryty i wpatrywał się. — Pomyślał. — Chyba znajomy — odpowiedział sobie — nie może być, i odszedł. Wrócił i przyglądał się jeszcze, odchodził, niecierpliwił się, że coś w tej twarzy wyczytał, a nie

był swego pewny... Miałżeby to być pan Karol? Ale gdzieżby on znowu w starem swoim dziedzictwie do żyda i karczmy zajechał?

Spytał po cichu Stacha — kto jedzie?. Stach potrząsł głową i ruszył ramionami, nie odpowiadając nic, bo takie miał rozkazy... żyd powrócił do Karola, był niespokojny.

— Z przeproszeniem jasnego pana — zaczął.

Wtem nagle w oczach mu się rozjaśniło i chwyciwszy go za kolana, krzyknął.

— A! tyś nasz panicz!!

Karol mu podał rękę.

— Cicho—rzekł—nie panicz, nie pan, ale stary przyjaciel... Jakżeś to mię poznał, jak?

— Albo ja wiem! serce mi uderzyło. Przypomnieliście mi starego pana.

Abraham powiódł go do bokówki, do izby paradnej, gdzie stały w szafie księgi zakonu, gdzie w dniu świąteczne rodzina zasiadała około stołu przy siedmioramiennym świeczniku. Tu nie było jeszcze dosyć pięknego i dobrego miejsca dla tak wielkiego gościa, nic godnego przyjęcia dawnego dziedzica... dzień powszedni! Ani szczupaka szabasowego, ani pieczonej gęsi, ani bułki świeżej. Cóż robić! na znak gospodarza, stara Abrahamowa i młode pokolenie, po przywitaniu serdecznem zajęło się kuchnią...

Karol smutny był, lecz dziwnie wzruszony, on, co nie miał tu rodziny, w tych biednych ludziach znajdował serca wspomnieniom wierne a życzliwe...

Spytał naprzód o Ewę... Abraham potrząsnął smutnie głową.

— Święta to pani—rzekł—ale też nieszczęśliwa! Siedzi tu opuszczona z dzieckiem, czasem się musi o kawałek chleba zatroszczyć... gdy jemu... pasztety w Warszawie jeść trzeba!...

Żyd z ohydą się wzdrygnął, ręką rzucił i zamilkł.

Długo potem mówili po cichu... naprzód o wszystkim, co się działo w Skale, potem o sąsiadach, o obcych, a naostatek... o kraju. Żyd obejrzał się dokoła ostrożnie, byli sami, wyszedł jeszcze za drzwi, niby za interesem do żony, obejrzał w sędzie, czy kogo na podsłuchach nie ma, kazał chłopcu pilnować i wrócił z posępnem, tajemniczem obliczem.

— Co pan się masz zapierać przedemną—rzekł—ja wiem, dokąd pan jechać musi... tam, gdzie teraz wszyscy jadą... do Saksonii, do Drezna...

Kiwnął głową.

— Nie potrzebuje się pan tać przedemną... ja tam też byłem od kogoś posyłany do pana Potockiego... do pana Kościuszka!

Ostatnie imię wymówił po cichu, przymrużył oczy i dodał na ucho:

— Ja wiem wszystko!!

— Ale ja, daję ci słowo, dotąd nic nie wiem—rzekł Pluta—jadę za tem umyślnie, aby dostać języka... Czulem tylko sercem z daleka, że coś robic się musi.

Żyd za kolana go znów pochwycił, oko mu się rozjaśniło.

— Jeśli tak, to dobrze pan tralił—odezwał się—ja nie wiem wszystkiego... ale... wiem o wszystkim... Co ja mam mówić!—dodał—pan to już wiesz!

— Więc się coś czyni?—spytał Karol z zapalem, chwytając żyda za ramiona... Mów mi, wskaż! gdzie?

— Ale cicho—przestrzegł żyd—cicho! tu ściany uszy mają, a ludzie długie języki... Jedno panu powiem, niech pan jedzie do Saksonii, do Drezna...

Rada Abrahama zdawała się zdrową, wiedział on oprócz tego, że Krakowianie zjeżdżali się potajemnie do Pińczowa, że generał Wodzicki był jednym z najczynniejszych i że po Galicyi krążyły tajemnicze postacie, zbierające wiadomości o położeniu wojsk i t. p.

Na tych naradach zmierzchać zaczęło, Karol nie był jeszcze pewnym, jak ma postąpić i do kogo się udać. Noc zbliżająca się dała Abrahamowi powód do zatrzymania go gwałtem w gospodzie. Trudno też było ruszyć bez Stacha, a ten, korzystając z popasu, poleciał do wioski, nie spytawszy nawet o pozwolenie. Nie miał już tu nikogo, chciał jednak zobaczyć ziemię, drzewa, ploty, chaty... te miejsca, gdzie dziecięciem plakiwał. Dziś te lzy jakże mu się zdawały słodkimi...

Rozmowa z żydem przeciągnęła się do późna, a rozmyśły z sobą noc całą. Brało się na brzask, gdy konie stanęły przed gospodą. Karol myślał jeszcze, co pocnie, wreszcie postanowił jechać do Sakskiej stolicy.

Podróże naówczas nie były ani łatwe, ani mile. ani pospiesznie. Kto, jak Karol, jechał z sercem bijącym, temu się wlokło śmiertelnie. Koń zakulał, rozkul się, bryka popsula, drogę zmylono, błoto opóźniało, w kraju nieznanym co chwila pytać było trzeba. Wiekiem się też wydalo dobijanie do Drezna.

Dawne z krajem polskim stosunki od śmierci Augusta III już były zerwane na pozór, ale nalóg pozostał, przyzwyczajenie ciągnęło, jakaś wiara niezasłużona w tę dynastję przywiązywała do niej, chciano w niej widzieć przyszłych królów nowej Polski. Nigdy też w Dreźnie na Polakach nie zbywało.

Jeszcze to miasto naówczas nie było tem, czem w ostatnich czasach napływ cudzoziemców je stworzył. Kupilo się ono cale niemal około zamku elektorskiego, który ze swą wieżycą i kościołem panował stosunkowo nie wielkiej kupce okazalszych domostw. Po za dwa rynki, Stary i Nowy, ulicę zamkową i kilka szerszych, zabudowanych kamienicami, dalej już tylko drobne domki i obszerne ciągnęły się ogrody. To,

co dziś wcielono do miasta, dobrze opodal za niem było odsunięte.

Schludnie to wyglądało, jak dzisiaj, ale raczej królewską rezydencyą niż stolicą państwa nazwać się mogło... Część znaczną ludności składali jeszcze Serbowie, na przedmieściach mówiono po wendyjsku... dziś już tam śladu nie ma tych dawnych Drażdan mieszkańców.

W gospodzie na zamkowej ulicy, nieopodal od bramy Jerzego, która nazywała się polską gospodą i miała jeszcze wywieszzonego orla białego, zatrzymał się wreszcie Karol. znużony i niecierpliwy. Ze skoczywszy z bryki, wchodził już na próg jej, gdy się minął z mężczyzną, obwiniętym chustką, w czapce nasuniętej na oczy, którego nie mógł poznać, bo twarzy prawie nie dostrzegł. Ten zwrócił się nagle ku niemu i chwycił go za rękę.

— Miły Boże! Tyś Pluta? nieprawdaż?

Już miał Karol wyrzec imię Kosciuszki głośno, gdy ten, położywszy palce na ustach i zmarszczywszy czoło, rzekł mu:

— Nie mów mego nazwiska! Szukają mnie. W tej chwili uciekać muszę... Uciekam do Lipska, gdzie mniej będę na oku...

— Kiedy?

— Natychmiast...

— Generale, na miłość Bożą! -jam umyślnie do was tu przybył z drugiego końca świata... muszę z tobą pomówić...

— Chodź ze mną, ja tu pozostać nie mogę— odparł Kościuszko, uchodząc szybko.

Ledwie mając czas, konie i rzeczy swe porzucając, nakazać Staszкови około nich pilność, Pluta musiał już iść za generałem, który się niecierpliwił... pospieszyli oba pieszo za bramę Jerzego pod kościół, ku staremu, naówczas jedynemu na Elbie mostowi.

Wiatr, acz już wiosenny, ale mroźny, smagał ich po twarzach... Elba kryła... pusto i cicho było na wybrzeżu.

— Panie generale—chciał rozpocząć Pluta, ale Kościuszek mu przerwał nagle:

— Zkąd mogłeś wiedzieć, że mnie tu znajdziesz?

— Dowiedziałem się o tem przypadkiem—odpowiedział Karol—mogę powiedzieć, że się tego więcej domyślał niż był pewnym. Jechałem, czując, że się coś gotować musi... oto wam przywożę ręce silne jeszcze... grosza, ile go mam... sił, na jakie stanie... i życia, ile mi Bóg przeznaczył... Biercie i rozporządzajcie

Kościuszek go uściśnął.

— Znać człowieka, co był w szkole Washingtona! — zawołał — a! zmuszeni podobno będziemy—dodał — ruszyć się, czy w porę, Bóg to wie; mojem zdaniem, zawczasie, ale dłużej czekać niepodobna, wytrwać nie można. Ja dłużej tu w Dreźnie zostać nie mogę, czekają na mnie w Lipsku... Tam więc przybyć musisz... Zgłosisz się do mnie do gospody pod murzynkiem, mało znanego kąta... gdzie i ja, i nasi będą... tam pogadamy dłużej... Nie mam chwili do stracenia... Przybywaj więc... Ja most przejdę pieszo, a na Nowem Mieście konie na mnie czekają.

Tak ledwie przybywszy do Dreźna, tegoż samego dnia pod wieczór ruszył Karol do Lipska.

Umieściwszy się w pierwszej lepszej gospodzie, Karol pobiegł na wyznaczone mu miejsce pod murzynka. Była to wistocie dziura czarna wśród najbrudniejszego domostwa steku; ale gospodarzem domu był Żyd z Polski, a u niego wszyscy jak u siebie, spokojnie wchodzili i wychodzili pewni, że ich nie zdradzi.

Nocą już wszedł Pluta do izby licho oświetlonej, w której, otoczonego kilku nieznanymi sobie ludźmi, zastał generała.

Żwawa już toczyła się rozmowa...

Z niej dopiero dowiedział się Karol, że tym razem nie szlachta, nie pospolite ruszenie, nie konfederacja, ale samo wojsko z ludem i mieszczaństwem rozpoczynać miało.

Zdaniem Kościuszki, naród nie był jeszcze należycie przygotowany do ogólnego powstania, ale niecierpliwość zrozpaczonych wojsk, które rozpuszczać nakazano, gorączka niektórych—naglily.

Postanowiono rozpocząć od opanowania Krakowa, do którego plan jeszcze w listopadzie roku przeszłego był osnuty przez Wodzickiego, lecz do skutku, mimo usilnych jego starań, przyjść nie mógł. Wznawiano teraz pomysł i spodziewano się łatwo wyprzec nieliczną załogę.

— Słyszałeś, cośmy mówili, wiesz jak rzeczy stoją—rzekł Kościuszko do Pluty, gdy Prozor, Dmóchowski i inni towarzysze narady się porozchodzili.— Nie mamy czasu do stracenia; nie byłem zdania, aby tak rąco i pośpiesznie przystąpić do wielkiego dzieła, chciałem więcej zasobów, lepszego przygotowania umysłów, ale żołnierz nie wytrzyma... Łada dzień gdzieś coś samo wybuchnąć może. Ofiarowałeś mi się z przysługą, przyjmuję. Pojedziesz odemnie do Słomińskiego, do Kopcia. Nie sądź, ażebyś małą lub łatwą miał przed sobą drogę.

Pluta chciał coś odpowiedzieć, żal mu było opuszczać Kościuszkę, przedzierać się znów posłańcem, ale rozkaz wodza... Zamilkł.

Kościuszko postrzegł smutek na jego czole.

— Co ci jest? — spytał.

— Jenerale — otwarcie rzekł Pluta — ruszę dziś jeszcze, jeśli rozkażesz, ale wyznaję, że wolalbym milszy obowiązek dzielenia z tobą niebezpieczeństwa...

— Kochany towarzyszu — odezwał się Kościuszko — wszędziebyś mi się przydał, to pewna... ale ja tu do roboty znajdę prędzej ludzi, a tam do tej niebezpiecznej misji nie mam nikogo...

— Będę ci posłusznym, a że chwile drogie, jutro więc dodnia wyruszę z Lipska.

Noc już była późna, rozstali się dwaj towarzysze, ledwie mając czas kilku słowy przypomnieć sobie amerykańskie przygody.

Leniwo przychodziła wiosna, chociaż ją już w powiewie powietrza czuć było, drzewa stały jeszcze jakby głuche na cieplejsze słońca promienie... a kwiatki, gdzieś tam wychyliwszy główkę z ziemi, mdlały, zmrożony rosa poranka... Bociany już były przyleciały i wychudłe, u ciepłych krynic szukały pożywienia; jaskółki kręciły się w obłokach, skowronek świętej Agnieszki dzwonił na wielką uroczystość zmartwychwstania — a ziemia stała wciąż jeszcze na pół odziana kożuchem lodu i szronów, obnażając się powoli... Sen zimy jeszcze ją trzymał w powiciu.

Ranki też były zimowe a zimne, choć dni czasem ciepłe, a w południe przypiekało. — Wszystko zwiastowało, że nagle potem, jak za odkryciem zasłony... piękną wezbrane liście i młodą szatą okryją się lasy zaspane...

Na Rusi, w chłodnych puszczech, w których splecione gąszczu niełatwo ciepłe wciskają promienie — jeszcze było głucho — ale w umysłach drżało przeczucie innej wiosny. Zwiastowała się ona wszędzie, choć pochwycić nie było podobna, jak i czem... Coś o niej mówiło.

Ktoś w wydrażonej osi, wracając z Gdańska, przywiózł wielkopolską gazetę; gdzieindziej przekradła się wieść z pątnikiem, idącym do miejsc świętych; inny przywiózł ją w zaciśniętych ustach... Gotujące się powstanie w Polsce na całym obszarze jej dawnym... rozplomieniało wszystkich.

Brygada Słomińskiego, do której wysłany był Karol, rozłokowana w pośród wojsk rosyjskich w Kijowskiem, już była osaczoną. Sam Słomiński zdawał się ujętym.

Wśród tego straconego już dla kraju żołnierza, który posępnie oczekiwał rozbrojenia, był przecie człowiek mężnego sefca, który widział możliwość ratowania siebie i braci. — Człowiekiem tym był Kopeć.

Kopeć był mężnym, energicznym, upartym w wykonaniu raz powziętej myśli, ale w potrzebie stawał się skrytym, a z pozoru wcale nie obudzał podejrzeń, tak wygładał potulnie.

W chwili, gdy po zapadłych lasach polesia Kijowskiego z rozkazu Kopcia pieczono chleby, suszono je, przysposabiano prowianty i w zakątkach gotowano się już do wyprawy, przybył Karol po raz pierwszy, aby do niej przynaglić. Przejazd jego, jako obywatela miejscowego, nie zwrócił uwagi, chociaż podróż po kraju łatwą, ani bezpieczną nie była. Pluta wszakże uniknął szczęśliwie niebezpieczeństwa, stawiał się w porze, ordynans oddał i powrócił do Sarnowa, aby wyekwirowawszy się po żołniersku, stanąć pod chorągwią. Z nią razem miał się później dostać do Kościuszki. W kilka dni, pożegnawszy majora, który narzekał na opuchłe nogi, a płakał, że na koń już sięść nie może, Pluta pośpieszył znów w okolice Uśzomierza.

Podróżując po większej części nocami — nad rankiem dnia jednego wczesnej wiosny, przypominającej mu pierwszą wyprawę, przybył Karol już po raz drugi do Kopcia.

Przyspieszył ten powrót, odebrawszy przez zaufanego kupca wiadomość z Krakowa i żądanie ja największego pośpiechu.

Kopeć stał umyślnie z główną kwaterą swoją we wsi odległej od traktów, otoczonej zewsząd głuchemi bory, tu bowiem mniej był na oku.

Rzuciwszy brykę z końmi w żydowskiej gospodzie, pieszo pobiegł Karol do brygadyera.

Ale w kwaterze były pustki; znalazł wszystko jakby do wymarszu gotowe, ludzi zajętych ostatecznemi przygotowaniami do drogi... Kopcia samego nie było. Nikt mu zrazu powiedzieć nie chciał, czy nie umiał, gdzieby go szukać potrzeba.

Dopiero w godzinę dobrą nadbiegł adjutant i szepnął mu, że go z sobą zabierze... ale tak, jakby tylko na polowanie. Wzięli więc z sobą strzelby i pieszo z psem poszli powoli ku błotom...

Dopiero, gdy się dobrze od wsi oddalili, młody człowiek odwrócił się do Karola.

— Kochany panie — rzekł — nie dziwuj się, śmiesznej może ostrożności naszej. Musimy czuwać... Tutaj ani wieśniaka, ani żyda pewnym być nie można... Kopeć jest ztąd o milę na potaszowych górach... Tu u skraju lasu znajdziemy w gęstwinie parę osiodłanych koni, które stoją zawsze na potrzebę, dosiadziemy ich i dostaniemy się do niego.

W istocie około chaty, a raczej budy leśniczej, do której doszli manowcami, w szalacie z gałęzi, u żłobu z płótna na żerdziach spartego, stały konie z siodłami. Adjutant ruszył przodem ścieżyną, wskazując drogę wcale niewygodną, miejscami ledwie znaczną, pozawalaną kłodami, porzniętą brodami i strumykami bez mostków... Niema to, jak owe lasy Po-

lesia, gdy się skryć potrzeba... jedni tylko poleszacy wytropić tu potrafią, obcy się zbłąkać musi i strach go ogarnie. Lasy to jeszcze dziewicze, gdzie Pan Bóg gospodarzy, a ludzie mu psują.

Wkrótce z za pni wyniosłych drzew ukazała się zieleniejąca już łączka, a na niej tabor ludzi i koni, góry worów i kotłów, beczulek i koszów, sprzętu wszelkiego i zapasów.

Były to owe tajemne magazyny Kopcia, który sam pośród nich się uwijał, obliczając, ile żołnierz udźwignąć może bez zbytniego obciążenia. W kuźniach potaszkowych wysuszone chleby tłuczono i pakowano w wory, rozdzielano sól, przelewano gorzałkę, ładowano regimentowe bryki i stosy siekier, motyk i drągów sposobiono na pochód, którego niebezpieczeństwa przewidzieć można było, ale trudno odgadnąć, czem się one zwyciężyć dadzą.

Wśród tych przyborów dorywczych, partyzanckich, brygadyer sam się krzątał, rozporządzając wszystkim, chodził zcicha, mustrując ludzi, wydając rozkazy. Wojsko, które się tak mozolnie przerynaczało, nie mogło za sobą ciągnąć wozów i taborów, jak najwięcej kłaść musiano na żołnierza.

Ujrawszy przybywającego Karola, Kopeć podbiegł ku niemu.

— A no, co nam przynosicie? — spytał.

— Naprzód siebie, ale to niewiele warto — rzekł Pluta — potem wieści nie dobre. Prawdę rzekłszy, należy dziś lub jutro wymaszerować koniecznie, później już być może niepodobieństwem kroku uczynić...

Kopeć ręką wskazał na wozy i przygotowania.

— Jesteśmy też w gotowości, choćby na dziś, gdyby brygada tylko równie była gotową do połączenia się z nami za Uśzomierzem.

— Nie dosyć tego, com powiedział - dodał Ka-

rol — idą już pono wojska, aby was i oddział cały pochwycić.

— A nie wiecie, którędy? — spytał Kopeć.

— Na trakt od Żytomierza ku Uszomierzowi idący.

No! na to damy rady! — odparł brygadyer, uśmiechając się.

Odwiódł Plutę na stronę.

— Jest chorych ludzi kilkudziesięciu, broni połamanej dosyć, rupieci niezdatnych do zbytku... nala-
dujemy nimi conajwięcej wozów i puścimy tabor tą
drogą, którą ja właśnie iść nie myślę... Obalamucić
się muszą. Co wy na to?

Słucham i podziwiam przytomność umysłu —
rzekł Karol.

— Gdyby nam Pan Bóg jeszcze dał jakiego zaprze-
dańca... — dodał Kopeć — co dziś lub jutro nieochy-
bnie nastąpić musi... dopełnilbym reszty obmyślanego
stratagematu... który mi chodzi po głowie. Puszczę
bąka, że mamy zamiar na Żytomierz uderzyć...

To mówiąc, Brygadyer wydał rozkazy ostatnie
dla taboru, wysłał ludzi do rozsypanej brygady, i nie
okazując najmniejszego niepokoju, dosiadł konia, by
razem z Karolem do kwatery powrócić. Przewidział
dobrze, iż użytym fortelem drogę sobie z pośrodką
nieprzyjaciół otworzy.

Tegoż wieczora, jak przewidywał, Kopeć wy-
konał drugą część swego planu; powiodło mu się
w tem niespodzianie. Siedzieli w jego kwaterze wiej-
skiej przy misie krupniku z pół-gęską, gdy oznajmio-
no bogatego kupca z Żytomierza... pragnącego panu
brygadyerowi się pokłonić.

Żyd ten znany był ze swych sto unków po-
kątnych.

Kopeć uradował się wielce przybyciem człowieka, którego znał, co zaczął, ale chciał na ten raz przyjąć, jakby się jego roli nie domyślał. Poproszono natychmiast Zinberga do izby. Brygadyer kazał nawet podać stół, ale żyd, mimo nalegań, usiąść nie chciał, stanął przy drzwiach z ręką jedną za pasem, drugą głaszcząc brodę: niespokojnie rzucił oczyma po kątach, nie wiedział, jak będzie przyjęty...

— Zkądże to kupiec jedzie? — spytał Kopeć.

— Jade... jadę z Łabunia... bo ja tu u pp. Nowowiejskich las kupuję. A cóż tu u jaśnie pana słyhać?

— Me ba! u nas tu nie jedno słyhać, o czym nie trzeba gadać! — rzekł Kopeć.

— Jakto, przedemną! dlaczego?

— Przed waćpanem... ba! ba! i waćpan zdradzić gotowyś, choćby ze strachu.

O u nas, panie Zinberg... słyhać różne rzeczy! — począł brygadyer umyślnie — lada dzień się kopniemy wprost do wpań z wizytą, do Żytomierz... miasto dobyć fraszka.

— A! a! co pan żartuje! — zawołał żyd, łamiąc ręce — to nie może być!

Żyd był tak jakoś skłopotany, zaniepokojony, że nie mogąc na razie przyjść do słowa, westchnął tylko.

— Nu rzekł po chwili — panowie w tych rzeczach macie więcej rozumu odemnie — ja się na tem nie rozumiem... ale mnieby się zdawało, że to niebezpieczna sprawa.

— Na wojnie niema nic bezpiecznego — odparł Kopeć — gdzie drwa rąbią, tam trzaski padają.

— No — a potem? co dalej? — zapytał żyd.

Kopeć udawał dla większego prawdopodobieństwa nieco podchmielonego. Zinberg najzupełniej mu uwierzył, widać było po jego twarzy strapienie wielkie i zakłopotanie. Rozmowa nie szła, piekło już

kupca odejść co rychlej z tą podchwyconą wiadomością — lękał się tylko podejrzenia. Postać więc jeszcze chwilę, pogawędził o rzeczach obojętnych, potem pożegnał i kopnął co żywo do karczmy. Nie mógł sam natychmiast nocą wyjechać, boby się domyślano czegoś z pośpiechu, wyprawił więc małą karteczkę po żydowsku napisaną do syna i oklep powiozła ją poczta pantoflowa do Żytomierza.

Teraz już niemal wszystko było w gotowości do wymarszu... Chociaż nazajutrz dopiero o południu wyjść miano, nikt się wszakże spać nie kładł tej nocy, każdy miał najwięcej do roboty na ostatku.

W cichości, z twarzami posępnymi, około południa zebrali się wszyscy do pochodu przy kwaterze Kopcia.

Droga, którą iść mieli ku Uszomierzowi, w razie napadu nie była bezpieczną, wiodła ona przez zwykłe, wąskie groble, moczary, trzęsawice i gęstwiny. Jedno maleńkie działko polowe mogło wstrzymać i zdziesiątkować.

Szli tak milczący, modląc się, kto mógł a umiał... Żołnierze przykryli głowy, gwarzyli pocichu... Karola mimowolnie oblegały wspomnienia.

— Miły Boże! — odezwał się do Kopcia — co się to z tym mężem stało, który nam błogosławił!

— Z kim? — spytał Kopeć.

— Z księdzem Markiem.

— Chcesz mówić zapewne z księdzem Odelgiewiczem? — spytał, uśmiechając się brygadyer.

— Nie wiem jego nazwiska.

— Otóż to rzecz szczególna — przerwał Kopeć — że trafem mamy go na naszej drodze...

— Jakto? żyje? jest tu? — podchwycił Pluta...

— Właśnie mieszka w Uszomierzu...

— A my na Uszomierz idziemy! — zawołał Pluta — prawdziwe zrządzenie Boże... on mi błogosławił, gdyś szedł do Ameryki...

— I gdyby nie spóźniona pora, mógłby nam pobłogosławić znowu, ale my około drugiej z północy przez Uszomierz przechodzić będziemy — dodał Kopec, rozpatrując się po niebie i zegarku...

— Brygadyerze, co wy zrobicie, ja nie wiem, ale ja widzieć go muszę...

Kopec się zamyślił chwilę.

— Aleśmy nie bezbożnicy przecie... — rzekł — jeśli pan masz spokój starcowi zakłócić, toć wszyscy go poprosimy, niech i nam pobłogosławi...

Oddział, mający miejscowych przewodników, znających dobrze kraj, nad rankiem w istocie, przedarłszy się przez lasy, ujrzał nad brzegiem Uszy rozłożoną miejscinę. Ciemnawo było jeszcze, księżyc zapadał za czarne bory... Osada stara, na pół z gliny i chruštu sklecona, na pół z drzewa, taka, jakie w głębi tych krajów opisywał Herodot jeszcze, spała przytulona do ziemi... snem porannym, ledwie gdzie w chacie na doświtkę zapalono łuczynę... Kolumna wojska w cichości poczęła przeciągać długą, błotnistą ulicą, wiodącą do rynku, ostawionego trochę pokazniejszymi domostwy.

Zdale widać było niski klasztor i wieżyczkę kościoła, rysującą się ciemno na niebie jasnym.

Karol, opowiedziawszy się Kopciowi, spał konia i poleciał przodem.

Wziął tylko z sobą jednego Staszka, któremu dał konia u furty potrzymać, a sam, przeżegnawszy się, zadzwonił zlekka.

Zdumiał się wszakże, gdy spodziewając się czekać, ujrzał natychmiast otwierające się drzwi, jakby niewidzialną odparte dłonią... Wszedł i w mroku uj-

rzał na progu braciszka w czarnym habicie, który, zamknawszy, już go do klasztoru, nie pytając nawet, wyprzedzał.

— Mój ojcie — odezwał się Pluta zdziwiony, wstrzymując się — ja... pragnąłbym widzieć się z X. Markiem...

To też was do niego prowadzę... — odpowiedział braciszek.

— A... jakże wiecie? — przebaknął Karol, stając.

— O. Marek chory, oddawna już nie wstaje z łóżka, ale godzin temu kilka, gdy się do chóru zbierano, przysłał po mnie i powiedział mi, żebym u furty pilnował, że tu ktoś do niego przyjdzie... Rozkazał, abym was do jego celi natychmiast prowadził.

Karola strach przejął, ale razem jakaś otucha.

— Chory?... — spytał cicho.

— Chory, nie wstaje — dodał braciszek — ale duchem mocny. Już musiał posłyszeć dzwonek u furty, bo po całych nocach modli się, spać nie mogąc. chodźmy...

Pluta słowa już przemówić nie mógł, a przewodnik prowadził ciasnym korytarzykiem klasztoru, pokłakłszy przed krucyfiksem, u którego stóp lampa się paliła. Ciemne krużganki, ciszą nocną obwiane, osłonięte mrokiem, wydawały się posępnie, jak groby. Gdzieniedzie ze ściany wyglądała na czarnem tle biała twarz obrazu, a światło zachodzącego księżyca pasem białym wdzierало się do wnętrza.

U małych drzwiczek celi stanęli, braciszek zapukał z lekka... głos odpowiedział ze środka:

— W Imię Boże!

Karol wszedł i stanął przy progu.

Celka była szczupła, niska, uboga... z jedn okienkiem za kratą... Na tapczanie, okrytym płas siennikiem, spoczywał w habicie mąż z siwą br z obnażoną głową, ręce z różańcem złożone trzy

na piersi. Stopy nagie, nieruchome, trupio i bezwładnie wyglądały, wyciągnięte z pod wąskiej szarej kółderki sukiennej. Podobniejszy był do białych zwłok, niż do żywego człowieka, oczy miał powiekami osłonięte, usta wpadłe. Obok niego w głowach na kłęczniku stał krucyfiks, wisiał obraz Matki Boskiej, a pod nim paliła się lampka. Niżej leżała głowa trupia i książka. W kącie dzbanek z wodą i misa, prosty stół i stół od siekiery ciosany, wiejski, w pośrodku.

Gdy Karol wszedł, zakonnik powoli, spokojnie podniósł nań powieki i w milczeniu długim mu się przypatrywał... nie okazując najmniejszego zadziwienia.

— Ojcie mój — ośmielił się nareszcie odezwać Pluta... przebacz mi, że chorego nocną porą budzę i niepokoję...

Zakonnik wpoił w niego długie wejrzenie.

A, to ty! z Częstochowy! ty, coś tam był z pocziwym Kazimierzem moim...

Zamilkł, a potem dodał:

— Jam już nie ten, którym był... nie to naczynie, w które Bóg wlał ducha swego, a wylał zeń, bo go nie było godnem... próżne dziś skorupy, śmierć się opóźnia... ale Bóg tak chce, bym odpokutował... wola Jego... Ale nie duży, nie wstanę już o swej sile... a nim wyjdę, pomodlić się muszę, by wezwać Ducha Świętego... boć sam nędzny jestem i niemy... a nie wiem, cobym wam powiedział. Rękę mi dajcie'..

Karol podbiegł co prędzej do łóża... Złamany wiekiem mąż dźwignął się z trudnością; zdawało się, że w tym wysiłku kości się pogruchoczą, tak się powolnie zginały... podniósł się wreszcie i gdy padł u kłęcznika, głowę na nim składając, ujrzał Karol dyscyplinę, która zsunęła się na ziemię.

Modlił się tak, zatopiony w Bogu, długo, Karol pokłęknał u drzwi...

Gdy z wolna podniósł głowę, okiem pełnem łez spojrzał na Karola, jakby znów wzywał jego pomo-

cy, gdyż o swej sile wstać nie mógł. Przystąpili razem z braciszkiem, który oczekiwał także u drzwi przymkniętych w korytarzu.

— Weźcie mnie pod ręce obie — rzekł — tak się powlokę przy pomocy waszej... dojdę jeszcze i na łóżko moje powrócę...

Raz jeszcze pokłakł i modlił się przed krucyfiksem w korytarzu.

Brzask dnia wiosennego różowił niebo na wschodzie, gdy po nad mur opasujący cmentarz klasztorny wszedłszy po wschodkach z towarzyszami, zjawiał się starzec siwobrody... wojsko stało szeregami do koła rynku, odkryły się głowy... anioł ciszy przeleciał.

Ks. Marek zdawał się modlić, patrzył zdrtwiałym na tę garść ludzi i płakał... Gdyby jaśniejszy był dzień, widzieliby wszyscy dwa strumienie łez długie, które na białą spływały mu brodę...

Cisza... wśród której tylko szczebiot budzących się w drzewach ptasząt słychać było, cisza trwała długo jeszcze. Zdawało się, że z ust zamartwych słowo wyjść nie może.

Pochylił się, padł na kolana, i mur go zakrył przed ich oczyma.

Żołnierze pozsiadali z koni, przejęci, wzruszeni, i obróciwszy się w stronę kościoła, modlili się po cichu...

Starca milczącego, z którego już słowa dobyć nie było można, odprowadzano do celi... szedł ledwie, tak go ta krótka chwila złała. Trąbka dała się słyszeć w rynku...

— Na koń!!

I oddział w milczeniu skierował się dalej w lasy

Brygada Kopcia istnym cudem przebiła się przez wolińską ziemię, to wyslizgając nieprzyjaciela, to zuchwale nastawiając mu czoła, omijając go, napada-

jąc niespodzianie, uchodząc nocami, manowcami, gościńcami, na których się jej nie spodziewano.

Przeprawa przez Słucz w okolicach Korca, pod Ostrogiem, przez Annopol... u Kozina, godne są, by je w dziejach naszych zapisać. Kopeć winien by niezmierniej przytomności umysłu i energii swej, że się prawie bez straty dobil z brygadą do Bugu, wzmoconiony kilku zabranemi oddziałami po drodze.

Od owych dni przeprawy z Kopciem aż do klęski Maciejowickiej, Pluta targał się po obozach, to z szabłą w dłoni, to z rozkazami biegając po Krakowskiem, do Warszawy, w Poznańskie. Gdzie było potrzeba bezwarunkowego poświęcenia, posługiwano się nim, gdzie groziło niebezpieczeństwo, ofiarował się i napraszał. Kościuszko chciał mu dać dowództwo, nie przyjął.

Pocziwe jego serce bolało teraz więcej, niż inne, bo bystre oko głębiej od innych widziało...

Pod Maciejowicami Karol ranny w pierś, legł martwym, nieprzytomnym na poboju.

Karol po długiem milczeniu, ocucił się jękiem... Dokoła noc była, w dali gdzieś świeciły ognie i migaly cienie, rżały konie a wiatr wył... Pod nim, przy nim, pole usłane było trupami... kulami, kawalami ciał poszarpanych. Już cisza i spokój sądu Bożego się rozpościerała, nad zabitymi przez rozdarte chmury patrzyły gwiazdy wiekuiste.

Karol poczuł... obojętność i boleścią obudził się do niej. Po co żyć było? Czy ocalić resztki żywota, czy położyć się trupem z trupami na dobrowolne skonanie... Ale krew z ran zaskrzepłych uchodzić przestała, życie wracało... usta spalone pragnęły napoju... westchnął i myślał, że skona... ręką ran dotknął... i uczuł siłę... Chłód nocy go rozbudzał, wiatr smagający obnażonego rzucał... dawał się nakazywać... Wstań i żyj!...

Z północy ogniska gasnąć poczęły... Karol spróbował zwlec się, był cały we krwi, bezsilnym—ale na nogach się trzymał... spróbował iść... padł i powstał... skurczone członki ożyły... gorączka zastępowała siłę... czołgając się z trupa na trupa... wlokąc na rękach... namacał rzucony płaszcz żołnierski, który mu dawała Opatrzność, chcąc ocalić...

Narzucił tę odzież... podparł się kolbą złamane-go karabina... mógł iść...

Nad pobojowiskiem kruki latały już stadami, na wsi psy przerażone wyły dziko...

Tuż był las i krzaki podruzgotane... kulami, Karol dobił się do brzegu zarośli... ale i tu jeszcze ziemia cała była usłana zwłokami ludzkimi—każda gałąź osłaniała trupa.

Instynkt zbawczy bezmyślnie wiódł go w las coraz głębiej... czuł, że gdy nadchodzący dzień zastanie go zdała od pobojowiska, bezpieczniejszym będzie. I szedł, czołgał się, włókł, padał, spoczywał, konał, odżywał... Po głowie, jakby żelazną ściśniętą obręczą, myśli przelatowały czarne... złote... szare... ze skarbnicy całego życia... Ameryka... Bar, Pulaski, Kościuszko... Skala... Ewa... wiosna młodości i wieczór powrotu... Sarnów... i ks. Marek...

Nad rankiem już, ujrzał w lesie daleko porozpalane ognie...

Przyczółkał się bliżej...

Tabor to był smutny jakiś, wygnańczy; starcy, kobiety, dzieci otaczali milcząc gasnące ognisk popioły... W okół leżał ubogi sprzęt ocalony, tuliły się owieczki i bydło wychudłe, siedziały psy z sierścią najeżoną, kiedy niekiedy jęk żałobny wyrwał się z piersi lub dziecię zaplakało boleśnie... a śpiew matki uspić je próbował...

Była to ludność Oronnego, którą płomienie w lasy wygnały... Oni także stracili ojcowiznę, sta-

re chaty, w których umierali dziadowie i porodziły się niemowlęta... plakali.

Przypomniał sobie Karol, że wioskę oni sami spalili przed bitwą. Mógłże się zbliżyć żołnierz ranny do rozżalonych wieśniaków... oplakujących popioły?...

Zawahał się... ale śmierć przestała mu być straszną... a pragnął, pragnął choćby kropli wody... Spał ją z liści wilgotnych, leżących na ziemi, z małych kałużek po lesie... a pragnienie zwiększało się coraz... Chciał zresztą ludzi, choćby w nich miał znaleźć nieprzyjaciół...

Powstał więc i wszedł w krąg tych starców, niewiast, dzieci siedzących ze spuszczonei głowami, z pół snem na oczach... Nikt nie spojrzał nań nawet. Przesunął się i padł przy ogniu, tracąc przytomność...

Sil mu nie stało, tylko do tej mety.



KSIEGA IX.

W KRAJU I NA OBCYZYŃNIE.

Uratowawszy życie, które mu było ciężarem, Karol staraniem naprzód wieśniaków, co się nad nim ulitowali, potem okolicznych obywateli, pod ich opieką, z domu do domu przewożony, zdołał się nareszcie, okryty ranami, przekraść do Warszawy, ztamtąd zaś, osłabły jeszcze, ledwie żyw, na prostym wózku wieśniaczym, sam jeden, bo Stach mu gdzieś z oczów zginął pod Maciejowicami — kazał się wieść w Krakowskie. Chciał tam umierać przynajmniej, gdzie się urodził, gdzie już gotowy stał nań czekając grobowiec... Nie wiedział ani o Ewie, ani o mężu jej i dziecięcia losach, nie myślał zakłócać im spokoju... pragnął się tylko dostać do tego kąta... gdzieś, do chaty, choćby do karczmy pocziwego Abrahama, któryby mu nie odmówił przytułku i tapczana do skonania.

Droga to była... długa i ciężka, pełna niebezpie-

czeństw, co chwila się odnawiających. W tym stanie ducha opuszczenie, samotność, nędza... podwajały chorobę, wprawiały w nieustającą gorączkę. Mózg zamieszkiwały mary wyobraźni, wspomnienia bolesne... dnie stawały się wiekami... chłód, głód i słabość zdawały się co chwila zrywać nić życia... a jednak serce biło i śmierć nie przychodziła.

Do Sarnowa już dla samego oddalenia i prześladowania niepodobna było myśleć się dostać; wedle wszelkiego podobieństwa, majątność albo już była zaksekwestrowaną, lub ją to wprędce czekało. Nie było innego przytułku dla Karola nad ten rodzinny kąt, który nie był już jego... lub przyjacielski dom podkomorzego Krzywaczyńskiego. Ciągnął się więc tak słaby, ranny, smutny, na łasce Bożej, z jednym wieśniakiem woźnicą, który okrywszy go płaszczem i słomą, wiózł jakby nieżywy ładunek... Nie mogąc siedzieć, Karol leżał, zdawszy losy na Opatrzność, która mogła go każdej godziny oddać w ręce nieprzyjaciół — albo cudownie ocalić... Dzięki baczości człowieka, który znał dobrze drogi boczne i manowce, a wiózł go nocami i rankami — na gościńcach nie spotkali nikogo i w kilka dni przywlekli się do Skąły... Wóz wprost w otwartą gospodę się zatoczył.

Gdy na rękę wieśniaka sparty, niepodobny do siebie, zbladły okrutną krwią utratą, zestarzały nie-szczęściem, przybity męczarnią podróży — ukazał się Abrahamowi w progu... żyd załamał ręce i rozplakał się... Nie dając mu chwili pozostać w pierszej izbie, pełnej ładu i gwaru, gospodarz poprowadził go do alkierza, a tu usadowiwszy, załamał ręce i milcząc, patrzył na biednego...

— Mój dobry panie! także ci to wracać tu przyszło — po raz drugi!

— Co Bóg dał, przyjmuję z ręki Jego — rzekł Karol, odzyskując nieco siły — chciałbym... spocząć tylko u ciebie i... dostać się do podkomorzego...

Do podkomorzego! — powtórzył żyd, trzęsąc głową smutnie... jego już od kilku miesięcy nie ma na świecie... a jejmość... pan jej nie znasz...

— Jakto!? umarł!?

— Umarł... — dodał Abraham — ale dlaczegoż pan nie chcesz do dworu? U mnie... a! z sercabym ugostił was... ależ to gospoda na trakcie... Włóczę się marudery, ani wygody, ani spokoju... Ale czemuż nie do dworu? — powtórzył żyd natarczywie.

— Bo nie mogę... nie mogę! — odparł Karol posępnie... — na łasce tego człowieka być — nie chcę...

— Jakiego człowieka! — zawołał Abraham... — chyba pan nic nie wiesz?! Nasza pani od roku jest wdową... Ona was tak oglądać pragnie, tak wspomina... posyłała po was, dowiadywała się napróżno. Jej jedyna nadzieja w was... Ona potrzebuje waszej opieki... ona oczy wypatrzała za wami...

Karol zdziwiony, podniósł głowę.

— Byćże to może?

— A! panie! tak jest! dla niej to będzie szczęście...

Pluta nic już nie odpowiedział, pomyślał tylko, że dziwnie składały się losy jego...

Wieczór był późny, gdy o kuli, o kiju, w sukni odartej, zszarzonej, upadły na duchu, wszedł powoli Karol na próg wdowiego domu...

Dwór sam był do niepoznania zmieniony i fantazją właściciela, który go chciał upięknąć i ruiną, co go w pustkę obróciła.

Ta mięszanina jakiejś niesmacznej wytworności, która czasu nie miała się rozpostrzeć, i opustoszenia, co się tak szybko czuć daje na dziele ręki ludzkiej — uderzała bolesnie.

Jeszcze nie skończono restauracyi i złoceń, sztukaterij i tynkowanych kolumn, a już z pod opadłych gipsów skielety żeber... wyglądały...

Wdowa zajmowała część ledwie dworu, którego połowa pokojów jeszcze rusztowań nierozzebranych

pełna i na pół porozrywanych posadzek, stała z pozamykanemi okiennicami, nieopalona, niemieszkalna... Kupy gruzu, kawały drzewa, stopy słomy... porastała pleśń wilgotna...

Z tłumu sług nadto licznych, został stary kre-dencierz zgarbiony i dwie niedołężne kobiety.

U'bogo, więcej niż ubogo, nędznie było w Skale, a Abraham wzdychając, szeptał na ucho, że i tu jeszcze długi spokojnie zasnąć nie dawały. Pan starosta, do końca życia pełniąc sumiennie zadanie swoje, usiłował dojść i zmarnować grosza ostatek, aby po nim nic nikomu nie zostało.

Na wieść o przybyciu Karola wybiegła... raczej wywlokła się biedna kobieta, w sukni czarnej, wynędzniała, zestarzała, zgięta, z piersią wklęsłą, z włosiem siwiejącym prawie... Za rękę trzymała wyrostka... bladego i wystraszonego, jak ona... Chłopię tuliło się bojaźliwie do macierzy, na widok tego żebraka, kaleki... co je niegdyś w kolebce pobłogosławił.

Z twarzy tych dwóch istot, z tła tego obrazu wyczytać było można całą historję nieszczęśliwego domu...

Z twarzy chłopięcia roztropnej, ożywionej, ale znękaney, patrzała żywa ciekawość i ogień z chorobliwie ognistych strzelał oczów. Samotność, sieroctwo... straszne młodości piastunki!

Wdowa żywo ręce obie wyciągnęła do Karola...

— O mój Boże! jakżem modliła się, by was odzyskać i zobaczyć! ale takżem się to ja was widzieć spodziewała!

— Chwalmy Boga, nawet gdy krzyże zsyla— odparł Karol—jeszcze to szczęście, siostró, że się widzimy... jam wstał z umarłych na... pobojuwisku Maciejowickiem, a jeśli żyję, to cudem...

— A! bądź-że pozdrowiony w tym domu, w twoim domu —zawołała, płacząc wdowa. —Wierz mi.

iz jesteś dla mnie jakby zesańcem Bożym, najmilszym gościem, nie gościem! bracie... ale panem...

Łzy mieli w oczach oboje... Tadzio niesmiało powoli przybliżył się do Karola... tyle nasłuchiwał się o nim, ale tak zupełnie inaczej go sobie wyobrażał!

Szczęściem jakimś, poszanowany był wypadkami od restauratorów pokój pułkownika, dziadowski, z widokiem na kaplicę... Przez pustą salę ścieżka wśród łomów wiodła do niego... Karol wybrał go dla siebie. Przypomniało mu się ostatnie pożegnanie z dziadem i oddawanie Saracenki.

Karol stracił ją był razem z przytomnością i czuciem pod Maciejowicami. Gdy ze snu, który już ostatnim być sądził, przebudził się i zwlec usiłował z pośrodku trupów, napróżno szabli, lub choćby jej szczątką, szukał dokoła siebie. Oplakał tę stratę i przybył do Warszawy...

Jednego ranka, gdy przed podróżą chciał sobie kupić ubogą odzież cieplejszą, wprowadzono do niego przekupnia. Miał on z sobą mnóstwo łachmanów i rupieci, lasek, a nawet szabli... Jakież było zdziwienie Karola, gdy w obłoconej, brudnej i nieporządnej broni, rzuconej na ziemię, dostrzegł swój skarb... Saracenkę! Myślał z razu, że go myliły oczy, dobył główni... znalazł na nim napis... z bijącym sercem trzymał ją w rękach... wlepiwszy wejście... przekupień sądząc z milczenia, że nie przypadła do smaku, zachwalać począł, a nie odbierając odpowiedzi, pospieszył się z zażądaniem niskiej ceny...

Jakim sposobem szabla ta z rąk jakiegoś obozowego ciury dostała się aż do Warszawy, jakim trafem właśnie do niego przyniesioną została? Karol nie pojmował.

Jak ostatnią relikwię przeszłości przycisnął ją do serca i ukrytą przywiózł do Skały.

Tu—w pokoju dziadowskim, po latach tylu, po tylu przygodach... znalazł w ścianę wbity ten sam ółwiek, na którym niegdyś szabla przy łóżku pułkownika wisiała. Ludzie się do mogił pokładli, zardzewiały kawałek żelaza tkwil na swoim miejscu w ścianie...

Po kilku tygodniach wypoczynku Karol nieco odżył Skałą. Było to teraz schronienie ciche, smętne, ubogie, ale dla niego jedyne może, co duszę leczyło siłą zaczerpniętą w przeszłości...

Los Ewy i jej syna, którym się teraz czuł istotnie potrzebnym, przywiązywał go też do życia.

Dziecię było nad wiek swój roztropne, pełne gorączkowej ciekawości do nauki, dojrzewające, jakby owoc na słońcu, co jeszcze nie doszedł miary, a już się rumieni i złoci.

Z twarzy był podobnym do matki, ale podobieństwo nie rysy stanowiły, raczej wyraz jakiś niepochwycyony ust i oczów...

A matka!—owo dziewczę anielskie, jakże okrutnie, przedwcześnie zwarzona była i zwiędła. Zawiedziona w sercu, stęskniona, wylękła, biedna kobieta umiała teraz tylko modlić się i płakać. Pozostał jej jeden Bóg w niebie, a na ziemi nikt, prócz dorastającego Tadzia, którego sama wychowała, wypielegnowała, wyuczyła. Była mu ojcem, matką, nauczycielem i niańką, przyjacielem i mentorem.

Z choroby, z pracy, czy z niedoli, Ewa przeszła w stan nieustającej trwogi, i gdy nie miała czego się lękać, wyobraźnią tworzyła sobie obawy... weszły one w potrzebę tej duszy drżającej... Łzy i postrach wyczerpały jej życie i trzymały przy nim... gorączka była jej siłą. Karol musiał sam na duchu

się dźwignąć. zmęźnić i ukrzepić, ażeby tę biedną kobietę przywołać do życia i odkarmić odwaga. Po- między nim a nią— / dawnego stosunku, z tej miłości czułej, którą on żył tak długo— pozostało przy- wiązanie braterskie, gorace—ale poszanowania pełne...

Karol kochał ją nieszczęśliwą z siwiejącym włos- sem, może silniej, niż gdy mu się zjawiała w aureoli puklów złocistych—ale miłość tę krył w sobie głęboko i przed samym sobą. Nie godziło mu się o nią upomnieć u wdowy, dla tej resztki życia, której czuł w sobie zbyt mało, by z niego mógł uczynić ofiarę komu innemu, prócz matki jedynej.

Niebezpiecznie było wzywać z miasta lekarza... Kraków zajmowali Niemcy. Abraham podjął się spro- wadzić zręcznego felczera z Pińczowa, za którego uczciwość zaręczał. Staruszek ten, nie budząc podej- rzeń, mógł przybyć do Skąty, gdyż go tam często na wieś bierano, a doświadczonym był w leczeniu ran, na których nigdy w Polsce nie zbywało.

Sam Karol z amerykańskiej jeszcze wyprawy wyniósł doświadczenie, które się teraz bardzo przy- dało...

Wprędce też, z pomocą staruszka, przy troskli- wości Ewy... kaleka się dźwignął i odżył potrosze.

Rany się goiły i zablizniały szybko... Zmu- szony żyć a męztwem zasilać, Karol wymógł na so- bie pozór zdrowia i życia, chwilami wszakże wracało znękanie i cierpienie aż do łez... Tadzio często, za- stawszy go samego w pokoju dziada, nie mógł zro- zumieć, dlaczego stryjcio miał uśmiech na ustach i razem łzy na powiekach... Matka mu też tego wy- tłumaczyć nie umiała, choć lepiej stan ten rozumiała nad innych...

Część znaczniejszą dnia Tadeusz spędzał z Ka- rolem... Ewa się modliła, on czytał z nim, chodził,

uczył go jeździć konno, bawił się i przywiązał się do niego, jak do własnego dziecka... Tadzio go kochał, jak ojca...

Wszystko się powoli stracone odzyskiwało; za zgubioną Saracenką przybył i Staszek. Instynkt go przyprowadził do Skaly, bo o losie Karola nie wiedział...

Z Sarnowa nie było żadnej wieści, Karol ani mógł, ani chciał tam powracać, listy nie dochodziły, kogoś wysłać potrzeba było... Abraham, opatrzywszy się w paszport, podjął się jechać na Wolyń. Wiózł on z sobą listy do Żytomierza, do umocowanego prawnika, nagłące o sprzedaż majątku, z którego choć część chciał Karol ocalić, jeśli nie dla siebie, to dla wdowy i Tadzia. Słyszał, że byli ludzie, którzy się rozbiegli po wszechświecie szukając pomocy; przebąkiwano, że Francya poda dłoń bratnią, że gdzieś nad Sekwaną zbiorą się polscy żołnierze... Głuche te wieści ożywiły Karola, kręcił węża i mruczał po cichu...

— Pójdę jeszcze!

Napróżno Ewa, czasem usłyszawszy podobną mowę, usiłowała go przekonać, że młodszy pójdą go zastąpić... Karol, nie spierając się, milkł... ale widac było, że stał przy swoim.

Ile razy się z tem odezwał, Tadzio mu szeptał na ucho, prostując się:

— Pójdziemy razem, stryjaszku, bo ja samego nie puszcze!

Wyjechał żyd i długo nie było go widać z powrotem... listów z poczty ani się było można spodziewać.

Brakło więc wiadomości o losach posłańca i podróży celu; gdy nareszcie jednego szabasowego wieczora dano znać do dworu, że Abraham powrócił,

ale ponieważ gwiazdy już były na niebie, wdział na przód obrzędowy stroj i pobożnie stanął do modlitwy.

Nazajutrz więc dopiero odebrał Karol listy i pieniądze. — Sarnów został sprzedany jednemu z sąsiadów, ani źle, ani dobrze; kupiec całą sumę dał wójtówką, o co właśnie chodziło. Nie chciał się podjąć Abraham przewiezienia jej, wziął tylko część, resztę zaś przesłano przez Warszawę. Pamiątki miano później, gdy się kraj uspokoi, wyprawić do Skali.

Rotmistrz Poremba, zgryzłszy się straszliwemi wieściami, położył się, powtarzając — trzeba umierać, niema po co żyć — i w istocie umarł.

W ten sposób Karol był uratowany, mógł do czasu pozostać w Skale, nie stając się ciężarem wdowie, owszem spiesząc dla niej z pomocą. Odetchnął swobodniej, pilniejsze długi natychmiast popłacone zostały; Tadeusz dostał konia, siodło i książki do nauki.

Czuł to Karol, że przynosząc im trochę grosza i pracę swoją, mógł wyratować Ewę i Tadeusza przywrócić im życie...

Karol nie pojmował, aby mógł ocalony, spokojnie sobie orać ten zagon, ekonomować i siedzieć u komina.

Jak tylko przyszedł do zdrowia, nasłuchiwał, co się działo, był jak na czatach nieustannych...

Każdy odgłos, plotka nedorzeczna, wypadek jakiś, co mógł Europą wstrząsnąć... drażniły go, nie dawały usnąć spokojnie...

Tak upływały dnie w Skale, Karol, przywróciwszy do zdrowia, już prawie był się z myślą zostania piotrem Tadeusza, jego opiekunem, przyjacielem, nauczycielem.

W tym nadzieje złożył on w nim, a Tadeusz dał im świetnie się rozwinać; była to natura szlachetna, uczuciowa. Wychoowanie kobiecie, wcześniej, prędzej da-

ło się otworzyć duszy, jak się kwiat od ciepłego otwiera oddechu... Tadeusz, nad wiek rozwinięty, dojrzały w towarzystwie stryja, czerpał te niezbędne wskazówki do znajomości świata i ludzi, bez których młodość rzadko gorzkich unika zawodów. Oba byli z sobą w stosunku prawie braterskim, gdyż Karol zbliżyć go do siebie usiłował, zwracając do zupełnej otwartości i poufałości — a Tadeusz skłonny był serdecznie pokochać stryja... Teraz stał on się dla niego wyrocznią.

Kilka miesięcy, przebytych z nim, z chłopięcia wydobyły mężczyznę...

Gdy wychowanie to moralne Tadeusza zaprzętało wyłącznie prawie Karola, jednego wieczora przyniósł Abraham tajemniczy list, niepodpisany, wręczony mu z poleceniem, aby go natychmiast odniósł do dworu i oddał samemu Plucie. Szczęściem Tadeusz się był oddalił chwilowo, a Karol żyda odprawił i zakazał mu o tem wspominać, tak, że list pozostał tajemnicą. Wzywano go w nim, aby natychmiast dla pilnej sprawy do Krakowa przybywał. W karteczce wskazano mu, iż żebrak we Floryańskiej bramie stojący, z krucyfiksem na szyi, przy oddaniu mu jałmużny — w imię Floryana... powie, gdzie się stawić należy...

Chociaż pismo było bez podpisu, Karol, pełen zaufania, nie zawahał się nawet z wyjazdem. Szło mu tylko o to, aby się w domu celu jego nie domyślano...

Jednej nie tracąc chwili, rozgrzany tą myślą, że się coś przygotowywa, i że on potrzebnym tam być może... Karol wszedł do pokoju Ewy, oznajmiając jej, iż kontrakt o dostawę zboża zmusza go pospieszać do Krakowa. Dosyć niezręcznie napłatał jakoś nieuniknionej konieczności wyjazdu, zbyt gorąco brał do serca zbożowy interes, ażeby podejrzenie siostry i młodego chłopca nie obudził... Nigdy go

...zaczę tak ożywionym nie widzieli... ale nie śmieli pójść o udanie.. Ewa prosiła tylko, aby się na- zbył interesem tak małej wagi nie gryzł i nie mar- twił

Tadeusz przeczuł bardziej, niż zgadł, jakąś ta- jemnicę, lecz badać nie śmiał, przykro mu się tylko zrobiło, że stryj nie miał w nim dostatecznego zaufania, aby mu ją powierzył

Karol, nie zdradziwszy się, pożegnał co prędzej wdowę. ucałował Tadzia, powierzając mu dom i go- spodarstwo, i tysiące pilnych wskazując zajęć, ran- kiem konia zaprzadł konie i co rychlej pośpieszył do stajni...

Było to jako pierwszych dni stycznia 1796 ro- ku; Karol, nie doczekawszy się święta Trzech Króli, bieł do Krakowa, już naówczas będącego w ręku Austryaków. Potrzeba było nadzwyczajnych ostro- żności, a przy nich nie zwracać na siebie.

Mrok po pięknym dniu zimowego wjeżdżają- we Floryankę. Karol spotrzął dядzka, par- tycję na kiju, z krzyżem mosiężnym na piersi, pochy- lił się do niego z sanek, dając mu jalmużnę w imię św. Floryana... i odebrał wzamian w uścisku ręki karteczkę. Konie, zaledwie zwolniwszy kroku, ruszy- ły na rozkaz dalej... zajechano do gospody, która od- dawna służyła Skale. Dziedzictwem u nas szły tak wszelkie stosunki. Tu dopiero Karol wyczytał na kartce adres domu pani L.... i termin na tenże wie- czór oznaczony... Ledwie czas przebrać się było i przebiez uliczkami bocznymi do owej w rynku ka- mienicy.

Serce mu biło, gdy wszedłszy do niewielkiej sklepionej izby od podwórza, wskazanej przez mil- czącą służbę starą, znalazł tam już zgromadzonych znanych sobie: Leszczyńskiego gospodarza domu

Grzymałę, Raciborowskiego, Nowowiejskiego i kilku innych obywateli. Na boku rozmawiał przystojny, arystokratycznych rysów twarzy, fizyognomii wyrazistej mężczyzna średniego wieku z Waleryanem Dzie duszyckim. Zapoznano go z Karolem, zowiąc Janem Riedel... a choć łąco było odgadnąć, że imię to ukrywało jakąś znakomitość zbyt głośną... Pluta udał, że się nic nie domyśla... Twarz ta nie była mu obcą... ale do niej pewnego imienia przywiązać nie umiał.

Riedel samem obejściem się z Dzie duszyckim zdradzał swe incognito, czuć w nim było wielkiego pana... bluchano go z uszanowaniem, zdawał się być wysłany tu umyślnie i stanowił o., około której obrady się obracali.

Wszyscy, aż do tego bezimiennego gościa, który Riedlem nazywał się tylko dlatego, iż się jakoś przecie nazywać było potrzeba — przywitali starego żołnierza. Wszedłszy na gorącą rozmowę, Karol, zaledwie przywitawszy zebranych, cofnął się, nie chcąc jej przerywać. Ale co chwila otwierały się drzwi po nim, ktoś nowy wsuwał się... szeptano po cichu, czekając zagajenia ogólnego rozpraw...

Nie rychło po częściowych obradach ścisnęło się kółko przy panu Riedlu i Dzie duszyckim; pan Waleryan głos podniósł pierwszy. Czuć w nim było wzruszenie wielkie.

— Panowie a współobywatele — rzekł — przy nosimy wam wieści dobre. Oswobodzony naród francuski odda nam pości dłoń pomocną; Rzeczpospolita przyzna za jej się losem naszym czynniej i śnieleci. niż niegdyś Francya Ludwików...

W tem Riedel przerwał żywo, głos zabierając.

— Dyrektoryat terazniejszy, stojący na cze łach rządów we Francyi, sprzyja nam... posłowie rzeczypospolitej, ajenci jej w Wenecyi, w Konstantynopolu, w Berlinie troszczą się i opiekują losem naszych ro-

daków, uważając ich jakby za dzieci Francji. Ich pośrednictwu winniśmy zawiązek wkrótce urosnąć obiecującego legionu na Wołoszczyźnie. Konstanty Stamaty, choć nie jest urzędowo umocowany ku temu... daje nam niewątpliwie współczucia oznaki...

Narada trwała do późna.

Powracając z tej wyprazki do Krakowa, Karol spotkał na drodze już konno naprzeciw wybiegającego Tadeusza, który się o niego niepokoił... i codziennie kilka razy puszczał gościncem ku Krakowu... W łanku powitała go radosnie Ewa... Z wejrzeń syna i matki czytał obawę... zdawało się, iż się go już z powrotami nie spodziewali... Patrzono mu w oczy badając, trwożliwie — ale Karol o wszystkim zamilczał mu ślad.

Proźne to kłamstwo wszakże, człowiekowi nie nawykłemu doń, nawet wobec Ewy i Tadeusza powiedzieć się nie mogło... czuli oni, że ich zwodził, i coś w sobie ukrywał i że im lada chwila wymkną się może...

Ewa płakała, w obawie tracenia ostatniego opiekuna swojego dziecięcia, drżała, aby się jej ten odzyskany tak cudownie przyjaciel nie wyśliznął i nie poniósł o atka życia na niepewne losy... Tadeusz myślał tylko o tem, aż by towarzyszyć stryjowi... grzył się upokorzony tem, że go jeszcze za dziecko uważano, że nic nie wiedział. W duszy poprzysiął on sobie, jeśli Karol wyjdzie, pójść za nim... choć na koniec świata...

Nie zwierzał się z tem matce, choć oczy jej, nawykłe badać syna, do głębi w jego duszy czytały... Podwójnym więc niepokojem i obawą drżało biedne jej serce sieroce... i płakała a modliła się, modliła a płakała, aby Bóg od niej ten cios odwrócić raczył.

Jakkolwiek zaprzątłony już przygotowaniem do wyprawy dalekiej, do której tylko czekał skinienia, Karol dojrzał, co się działo z Ewą i jej synem... spostrzegł niepokój, przeżuł łatwo, co zrodzić go mogło...

Przekonywał się codzień, iż tak ich rzucie, nie rzekłszy słowa — nie może.

Z każdym dniem wyjazd zdawał się bliższym, potrzeba było serce otworzyć, walkę stoczyć... i nie wykradając się, jak niegdyś, wyruszyć, matkę powierzyć synowi, syna matce...

Dotąd przedmiotu tego nie tykali, choć wszyscy kim on stał nieustannie na myśli... nareście jednego wieczora wszedł Karol do pokoju wdowy i znalazłszy ją we łzach przy klęczniku, wzruszona, zboleła, na silach upadła... uczul, że godzina ciężkich wyznań wybiła.

— Kochana siostró — rzekł — nie smiem badać tajemnicy łez twoich, ona do ciebie i do Boga należy... któż dziś zresztą z najtwardszym sercem nie płacze? ale gdy patrzę na nie, pytam się mimowolnie siebie, czybym ich ofiarą jaka otrzeć nie mógł? powiedz mi, wyznaj, bądź szczerą...

Ewa, ocierając łzy, usiadła przy nim, objęła jego rękę i przycisnęła do ust...

Mój bracie, mój przyjacielu — rzekła — wiem, że nie poskapiłbyś ofiary... ale nie śmiem za wiele wymagać od ciebie... Łzy moje, to owoc całego nieszczęśliwego życia... wspomnień, zawodów... możeby jednak oschły, gdybym o Tadeusza, jego przyszłość... o ten dom spokojną być mogła, który, ty z pustki uczyniłeś znośnym... który żyje i opiera się na tobie. Ale czasy są jak przed burzą... cisza przerażająca... w niej serce czyta trwogę, samo jutro się zdaje przepaścią...

Nikt mi nic nie mówił, przecież odgadłam ją wiele... coś się gotuje, uczynisz, że ty ofiarę dla sieroty i wdowy, byś resztę życia dla nich poświęcił? Wów-

czas żreć tych ludzi i ja odwrócić się i pójść...
trafie... marzę, iż wyjeżdżasz, uciekasz od nas, po-
rzucasz nas samych... Uspokój mnie, proszę cię...
blagam.

Karol głowę spuszczoną na piersi podniósł, w męż-
kiem oku jego, które zwrócił na biedną kobietę, błę-
skała jakby lzy spalonej resztki...

— Zmuszasz mnie — rzekł powoli — do cięż-
kich i bolesnych wyznań, siostró droga... ja klamać
nie umiem i wszystko... wszystko ci dziś powiem...
mu... choćbym cię miał zasmucić.

Tak jest, siostró kochana... pójdę.

Spojrzał na Ewę, która chustką twarz zakrywszy,
flumila łkaniem i jękiem...

A! nielitościwy bracie! — zawołała, rzucając
rękę na dłoń jego — więc chcesz, byśmy tu bez ciebie
marnie zgineli! Życie moje, to już dogasające płomień,
lecz Tadeusz... ja go znam, jeśli ty pójdiesz, nie go
nie wstrzyma.

I Ewa znów łkać poczęła...

Powoli zsunęła się na kolana przed nim, głowę
złożyła na jego rękach i łkając, wołała:

— Ulituj się nademną! ulituj... mój bracie... jam
tak biedna! te życia resztki mi daruj...

A! gdyby to było w mej mocy. — zawołał
poruszony siostró... nie potrzebowałabys modlić się
tak przedemną i w rozpacz mnie wprawiać. Ale ty
kobieto i czujesz, co czes! Nie każ mi być wiaro-
lomcą...

Ewa podniosła się powoli, załamała ręce, sta-
nęła boleści pełna i na pół skamieniała

— Karolu... ocal mi syna! a Bóg mi ciebie ocali...
Wymodłę twój powrót u Niego! ty, wstrzymaj to
dziecię, rozkaż mu... Ulituj się nad — matką

— Zrobię, co każesz — odpowiedział Karol —
nigdy też nie namawiałem Tadeusza na wyjście...
ani bym na nie pozwolił. — Jest za młodym, jest

tobie potrzebnym. wątpić, ażeby się ośmielił... Mówił co?

— Nie mi nie mówil, alem w oczach jego czytała — zawołała Ewa — powtarza ciągle, żeś ty dla niego przykładem...

Jak ty, gotów jest ujść nocą z rodzicielskiego domu... pamięta o tem, że w jego wieku odbyłeś swą pierwszą wyprawę... Karolu! bracie, zaklinam cię, powstrzymaj go, zwiąż przysięgą... ja umrę, jeśli go stracę... w życiu nie miałam pociechy, prócz tego dziecięcia, byłoby to próbą ciężką, nad siły, zlituj się.

— Nie lękaj się, nie lękaj — rzekł Karol — całując drżące jej ręce... Tadeusz musi mi być posłusznym...

— A ty? — spytała Ewa... — a ty? nie dasz-że się skruszyć.

— Biedna kusicielko! — szepnął stary ze łzą w oku — nie opieraj się przeznaczeniu... zostaw mnie losom moim! — Ja pójdę, ja muszę, użyteczny, czy nie, na stanowisko, któremu ślubowałem.

— Znikniesz mi znów, opiekunie mój, a Skagę zostawisz pustkowiem...

Karol westchnął, obawiał się już zmięknąć, ścisnął jej rękę i wybiegł milczący.

Nazajutrz potrzeba się było z Tadeuszem rozprawić — czuł Pluta, że mu to nie przyjdzie łatwo. Stał się na jego miejscu i nie wiedział, czyby był głosu matki, czy stryja posłuchał.

Właśnie go zastał młody chłopak zadumanego.

— A! stryjaszku! — zawołał — łapię cię na uczynku... coś się święci, a mnie, jako młodemu dudkowi, nie nawet wiedzieć nie wolno.

Karol go do piersi przycisnął i rzekł:

— Sluchajże, tym razem będę z tobą mówił poważnie, jak z dorosłym mężczyzną, złóż gorączkę

na chwilę, jeśli możesz... i przyjmij słowo moje do serca.

Cobyś o mnie powiedział, chłopcze, gdyby się co robiło. do czego bym ja ze starem mojem doświadczeniem żołnierskiem był potrzebny... gdyby mniewołano... a ja nie stanął?

— Jakto! nie stanął! to nie może być! — buchnął Tadeusz — nie nazywałbyś się Plutą i nie byłbyś sobą!

— Dobrze mówisz — potwierdził Karol — to nie może być!

— Więc się coś robi! — spytał z iskrzącymi oczyma młody chłopak, rzucając się na stryja — mów, co się robi!

— Tak, przysposabia się — odparł Karol.

— I ty pójdziesz? — podchwycił Tadeusz.

— Naturalnie, pójdę...

— A ja! a ja! — krzyknął — pójdę?..

— A ty zostaniesz — rzekł zimno Pluta.

— Nie! jeśli ty pójdziesz, i ja pójdę... na to ci przy...

— Stój! nie rwij mi się, póki nie dokończę... bo ja tobie przysięgam, że ty się ztąd nie ruszysz...

Tadeuszowi zaiskrzyły się oczy, usta zaciął, płomień gniewu buchnął wejrzeniem.

— Nie rozumiem — zawołał — mam te lata, w których ty bez zezwolenia rodziców wyszedłeś z domu... mam serce, czuję się silnym... W domu nie zostanę... .

— Zostaniesz... — zimno powtórzył Karol.

— Jakaż siła mnie wstrzymać może?.. — gwałtownie przerwał Tadeusz, prawie do gniewu rozdrażniony.

— Obowiązek względem matki.

— Siadaj i słuchaj spokojnie — dodał Pluta. — Nie potrzebuję cię ostrzegać, że to, co ci mówię, jest tajemnicą.

Legiony ze starych żołnierzy formują się za granicą pod opieką Francyi.

Na tych, co pozostaną tu, leżą inne obowiązki. Nie wolno nikomu rwać się naprzód, każdy powinien czynić, co mu nakazują... i iść na stanowisko sobie wyznaczone.

Tadeusz patrzył mu w oczy, jakby chciał z nich wyczytać, czy to, co mówi, jest prawdą...

— Więc mi wyjść nie wolno? — zapytał.

— Musisz spełnić rozkazy... i pozostać w miejscu...

— Tak! z założonemi rękami! — zawołał Tadeusz...

— Zostawiam ciebie pod rozkazami starszyny województwa, która rozporządzi, co masz do czynienia — dodał Karol powoli. — Zgłosisz się do Leszczyńskiego i Grzymaly, jeśli oni cię pierwsi nie wezwą... ale z nazwiskami, mój Tadeuszu!, pamiętaj... ostrożnie! Rachuję na twą dojrzałość.

Tadzia to nieco ulagodziło... przyszedł stryja uścisnąć.

O mój dobry, kochany opiekunie — zawołał — na jakąż ty mnie wystawiasz próbę!

— Żadna to sztuka porwać się samopas i zrobić to, co człowiekowi do smaku i do serca przypada... prawdziwe poświęcenie jest ciche, wytrwale, nie szuka ono zaspokojenia fantazyi, ale karne i posłuszne stawia się pod rozkazy starszyny. Ja także do starszyny należę, i nie jako stryj, ale jako naczelnik, rozkazuję ci trwać na tem stanowisku... daję ci słowo na to... uroczyste, że gdy czas przyjdzie, wstrzymywac cię nie będę...

KSIEGA X.

WE WŁOSZACH.

Jednego dnia letniego 1796 roku, odebrawszy nareszcie oddawna wiadomość, iż legiony we Włoszech przychodzą do skutku pod wodzą Henryka Dąbrowskiego, jednego z tych, których wślawiła kampania 1794, Karol, nie mówiąc nikomu, przysposobił się do wyjazdu. Ewa i syn jej, uspokojeni nieco przeciągnięciem wyprawy, nie domyślali się wcale, że znów miał ruszyć w pole... Spóźniona nieco doznała go wieść, gdy już mnóstwo innych z różnych stron Polski pospieszało, przedzierając się z największymi niebezpieczeństwami do Francji... zwycięskiej i groźnej nieprzyjaciółom...

Kto wie, czy ten wyjazd ze Skały, z mężką rozwagą, z zimną krwią i poświęceniem serdecznem podjęty, nie kosztował Karola więcej, niż pierwsze jego ciche wykradzenie się, pełne świetnych nadziei.

Szedł teraz wielokroć zawiedziony, znękanym, obowiązkowi posłuszny, lepiej znając trudności tego zadania, o które już tyle rozbiło się poświęceń... prawie pewien, że na ten próg już nie wróci!

Nie chciał on im i sobie pożegnaniemi krwawić serca, utulił boleść, skłamał uśmiech, aby nie obudzić podejrzeń, dał Ewie dobranoc, jak codzień, pozwolił Tadeuszowi długo w noc siedzieć na gawędce u siebie, nie zdradził się niczem... nie widać było przygotowań do drogi, a jednak o świcie, gdy wszyscy jeszcze spali, zdjął Saracenkę z gwoździa i pieszo się wyśliznął za dwór do gospody Abrahama, gdzie na niego już zamówione konie czekały...

Nazajutrz rano nie domyślano się ucieczki, bo Karol przebąknął, że może wyjdzie na polowanie, czekali go cierpliwie z wieczera... i gdy już noc była, strwożony Tadeusz wbiegł do jego mieszkania. Spojrzał na ścianę, nie było Saracenki... na stole dwa listy leżały: do Ewy jeden, do Tadeusza drugi, przypominający mu obowiązki...

Smutny, jak grób, stał się znów dwór w Skale...

Któż zliczy tych lat ofiary i kto je oceni?

Często bez grosza, o głodzie, żebraczo, z niecierpliwością trawiącą, jak gorączka, szedł dobrowolny tułacz... A wpośród idących pielgrzymio na ten głos wdowi, iluż niosło z sobą nadzieję, jak wielu zwątpienie i rozpacz.

Pustoszały ławy szkolne, nikli gospodarze ze dworów słudzy... starzy żołnierze, co już walczyli, biegli, aby walczyć jeszcze, ci, co nie dorośli do broni, chwyтали ją, aby dowieść, że dźwigać już byli godni.

Ochłonawszy z dni szału i upojenia, Francya wracała do normalnego żywota, zatrzymując zasady

i idee, które ukrzepić ją miały; wyrastali z ludu wodzowie zwycięzcy, z ziemi wychodzić się zdawały owe tłumy bosc, głodne, ale niezwyciężone, walczące z zapałem, przed którym wszystko pierzchało.

Włoch objawiał się światu ów geniusz wodza, który tak potężnie wpłynąć miał na jego losy—dwudziestosiedmioletni Bonaparte.

Dziecię rewolucyi wiodło jej zastępy zwyciężkie, dokazując cudów, urok jego imienia rósł z każdą chwilą, z każdym piorunowem zwycięstwem, na czole zamyślonem palec Boży już mu wypisał przyszłość całą—wielkość, bohaterstwo, pychę, upadek, męczeństwo...

Z nim razem walczyli już w armii włoskiej Polacy: Sułkowski, towarzysz jego szkolny z Brienne, Strzałkowski i zawczasie zgasły Puchala... Nieznanych sobie Polaków Włosi witali bratersko: *Gli nostri liberi sono fratelli!*

Pluta, przedarłszy się do Saksonii, znalazł tam już kilku ziomków, jak on, dążących do Włoch na odgłos legionów; ponad nimi unosiło się imię Henryka Dąbrowskiego... Wszystko, co żyło z rozbitków, leciało w nadziei, że z niemi do kraju powróci. Z Dreżna do Paryża, przez Niemcy rozdrażnione przeciwko Francyi, droga była niebezpieczną, posądzano każdego o szpiegostwo, chwymano podejrzanych z paszportami niemieckimi, pod różnemi pozory biedni żołnierze przekradać się musieli, jak złoczyńcy.

Tak naówczas Tremo, podróżując dla sprawy legionów, które jego żarliwość stworzyła w myśl powszechną, musiał się przezywać Rejmontem i nieraz lokajską przywdziać liberyę; tak Ogiński zmieniał nazwiska, mianując się Dzieduszyckim, Riedel'em i nie wiem wielu imionami pożyczanemi, starając się przekształcić twarz, którą listy gończe po Galicyi ścigały.

Wśród owego zaprzątnięcia wojną, niebezpieczeństw przy dosyć jeszcze dobroduszej policyi, którą lada czem ująć było można i lada pozorem pokonać... tulacze w większej części uchodzili szczęśliwie, choć z twarzy ich baczniejsze oko mogło odrazu wyczytać, czem byli... Pasport poświęcenia mieli w oczach i na licu: nie jedząc, nie pijąc, nie śpiąc, nie czując chłodu, nie słysząc wrzawy, co ich otaczała, szli niezmordowani, lekceważąc wszystko w tem rozgorzeniu namiętności, które nic czuć nie daje nad wielki cel... u drogi końca.

Razem z innymi pod panowaniem uczucia, którem odżywał, szedł Karol Pluta—w gronie dobrych towarzyszków, wczoraj poznanych, jutro już przyjaciół serdecznych, tak wielka miłość wszystkie spajała serca. W drodze... dzielono się groszem, wspierano wzajemnie, ratowano, napędzano wstrzymanych ubóstwem, obalonych chorobą, byle więcej rąk przynieść tej legii, która zdawała się już w ich oczach zastępem wybawicieli...

A była to kupka rozbitków, których nie państwo, nie rządy, ale kilku poczciwców, jak de la Roche, jak Bonneau, jak Caillard, Stamaty i Verninac, wspierali.

Rzeczpospolita francuska tymczasem z każdym dniem stawiała się rozumniejszą i chłodniejszą—wstydziła się jeszcze otwarcie ruszyć ramionami, nie śmiała pozywających ją o spełnienie obietnic odprawić z niczem i przybytek ów rąk domagających się broni ślała do Włoch, na linię bojową...

Dla niej było to... *chair à canon* tylko... dobroduszenie rzucająca się w ręce, jak baran na ofiarę... pozbywano się bohaterów, ułatwiając im zgon bohaterski.

Gdy po raz pierwszy przedstawili się młodemu wodzowi wojsk Rzeczypospolitej starzy dowódcy polscy, generalowie: Dąbrowski i Wojczyński, przy-

szły Cezar przyjął ich, siedząc w sposób dosyć leżący w łóżku... zapytał jakie stopnie zajmowali w wojsku Kościuszki i za generała-lejtnanta ofiarował w legiiach stopień kapitana Dąbrowskiemu, a za generał-majora Wojczyńskiemu porucznikostwo. Trzeba było to znieść z pokorą i lepszego dobić się szacunku. Jako Bonaparte, zapewne lepiej oświadczony, oświadczył się później z tem współczuciem dla Polski, które miało dla niej, ilekroć mu ono do czego posługiwać mogło, mówił o heroicznym synach tego narodu... i... dźwiżył się, aby... i... w... na chwałę francuskiej...

Potrzeba było tylko przewalczyć trudność i znieść... nieuchronnie, z wolna przez Niemcy posuwając się ku brzegom Renu... w ostatku Karol znalazł się na ziemi wolnej i pośpieszył do Paryża.

Pluta przybył w dosyć licznej towarzystwie, ale dwóch z niego znużonych zachorowało śmiertelnie... inni, ledwie się dowlokli, rozproszyli... Został więc sam z niedoproszonym Stachem, którego wleciał za sobą, bo mu się ze łzami w oczach prosił i modlił do Francji, w kraj przeklętej, dziś pożądanej. Dolegające rany stare zmusiły Plutę wstrzymać się dla wypoczynku w Paryżu, jeszcze po uwolnieniu z jarzma terroryzmu, szalejącego i bawiącego się przy odgłosie tryumfów wojsk Rzeczypospolitej!

W kilka dni po przyjeździe do stolicy, Stach, który poszedł odwiedzić krewnych swej pierwszej żony, powrócił w dobrym humorze... prawdę rzekłszy, aż do zbytku wesolym; wyprosił się zaraz powtórnie i znów i jeszcze... znikł, aż na ostatku zwiłkł się z dosyć żalosną miną, przyznając, że nie czuje się dosyć silnym, aby nową i ciężką przedsiębrać kampanię, ale że myśli zostać w Paryżu i ledwie wy-

krztusił biedny! ożenić się raz jeszcze, próbując szczęścia!

Karol, nie mogąc parsknąć śmiechem, ruszył ramionami i spojrzał na Stacha z politowaniem.

Nieszczęśliwa ofiara stała, błagająco patrząc na dawnego swojego pana... Karol nie chciał mu nic mówić, wiedział, że odradzając podrażni, a ulitował się w duszy słabej istocie, czepiającej się resztek szczęścia, zawieszzonego na nici pajęczej... nad przepaścią...

Idź z Bogiem — dodał w końcu.

Stach przypadł mu do kolan, spowiadając się ze wszystkiego. Ta nowa była kuzynką Babety i bardzo, bardzo do niej podobna... ale daleko miłszą i lepszą. znał ją i lubił dziecięciem. Głowiła mu się sama...

Stary, skolatany włóczęga, jeszcze raz próbował, kusił losy... Rozstali się.

Dnie biegły do przodu szybko dla Karola. Powiedział się on od X. Ogńskiego, że legie już się formowały. Włochy przyjęły je w służbę swą, dozwolono im kolory i oznaki narodowe zachować... naostatek, że Dąbrowski uskarżał się na brak oficerów.

Bonapartego gwiazda (już ją upatrzono w niebiosach), geniusz (już weni wierzono na ziemi), szczęście naostatek (którem się zaslaniała zazdrość), zdawały się torować drogę legiom naszym przez rozbity Austryę... Młody wódz szedł, niemal dzień każdy, znacząc tryumfem, rzeczpospolite rosły pod jego stopami... cispadańska, transpadańska... zdawały się apowiadać coraz nowe, na które się dzielić miała Europa. Szczęśliwe walki z dowódcami najsłynniejszymi, z arcy-księciem Karolem, na nowo rozpoczęte, z tryumfy nowymi, otwierały głąb Austrii zwyciężkim orłom rzeczpospolitej.

Na odłós nadziei, którą wieść olbrzymiła, Karol leciał, rzuciwszy chorych i opóźnionych - do Mantui... Szczęśliwym trafem ulatwiono mu przejazd do armii z oficerem francuskim, wiozącym depesze do Dyrektoryatu... do głównodowodzącej... Tak bez spoczynku lecąc, z zimy zachodu przerzucony został na ciepłą wiosnę południa... Na jednym Alp stoku leżały jeszcze śniegi, wiało mrozem, na drugim kwitło młodością, nad ięją, zielenią; odetchnął tam powie trzem pierś całą i poczuł się także odmlodzonem. Zapomniał o ranach i znużeniu... Ale dostawszy się do Mantui, Pluta nie znalazł już tam Dąbrowskiego: w dniu 6 Kwietnia 1797 roku, odebrałszy rozkaz wyjazdu do Palma-Nuova... cały legion wyruszył... całe siły polskie miały się tam zgromadzić.

W Mantui już kilku przypóźnionych ze łzami w oczach a żarem w słowie mówiło mu pocichu, iż wyjście to nagłe nic innego nie znaczyło, tylko przyjęcie planu generała Dąbrowskiego przez Bonapartego...

Starano się miarkować uniesienia, lecz radość była nie do opisania, zapal dochodził do szaleń... Nie było chwili do stracenia, z Mantui w ślad za legią puścił się Karol do Palma Nuova i dogonił naza-jutrz o jeden marsz tylko oddalonego szefa Dembowskiego.

Natychmiast zameldował mu się stary żołnierz ochotnikiem, chociaż nieznany osobiście, miał za sobą towarzystwo broni Pułaskiego i Kościuszki. Szef i wszyscy przyjęli go otwartemi rękami, ale zostawiono pomieszczenie go w kadrach jeneralowi Dąbrowskiemu.

Pluta nie żądał nic więcej, tylko, by jako grenadyer mógł towarzyszyć oddziałom i wesoło poszedł naprzód... Rozgrzało mu się serce od bicia serc tyłu, jedna myśłą złączonych...

Widok, jaki naówczas przedstawiały legiony zachwycającym był dla serca polskiego, ale smutnym dla oczów, któreby bohaterów w innym stanie oglądać pragnęły. Wprawdzie, wojska rzeczywiście politej francuskiej o niewiele może lepiej wyglądały — lecz Polacy nędzni byli, wybledli i odarci. Karolowi mimowolnie przypomniła się Ameryka i pierwszy obóz żołnierzy nowego świata pod Wilmington. Ale ta nędza była tak wesoła, ci wiarusy tak ochoczo spaliwali mimo głodu!

Chociaż część legii zdobyła się na mundury, już je trudy wojenne poszarpały, reszta, z wojskowa odziana, fantastycznie, napróżno starała się o jednolitą fizygnomię, broń ochotników i stan ich dojąć do tego idealu nie dozwalały. Przy wielu mundurach brakło obuwia, zastępowały je płótno, sznury, kawalki skóry i szczątki trzewików. Nie lepiej było z bielizną, którą przy pierwszym strumieniu prano a suszono na grzbiecie. Dodajmy, że tak ubrany, a raczej oszarpany żołnierz, często bywał bez chleba, prawie zawsze bez mięsa, rzadko miał czystą wodę za napój.. a w większej części utrzymywał się o własnym, z domu przyniesionym groszu, gdyż na żołd długo czekać i smutnie się go upominać było potrzeba.

W kilku kociołkach, zawieszonych nad ogniskiem z suchych gałęzi winnych, warzył się ów sławny, tradycyjny żołnierski rosół z zęba od brony... ale wesołe śpiewy i żarty towarzyszyły kuchni anachoretów.

Czasem w rozmowie ozwał się głos nowy, potoczyło się słowo... obudził ktoś z drugiego grona i dwóch przyjaciół, krewnych, rzuciło się sobie w ramiona:—Ty tu?—ty tu? mój Boże! Zkąd? jak?

I plakano, i ściskano się... a głodu zapominano.

W pochodzie do Mantui, wiara w to, że legiony przez Węgry do Galicyi wkroczyć maja, ustaliła się powszechna, każda chwila ją wzmacniała, radość po-

wsechna, zaraźliwa, ożywiła wszystkich, od prostego ciurka do starszyny. Wierzano w Dąbrowskiego wpływ, a on pierwszy osnuł ten plan, przyjęty przez Bonapartego.

Okolo malej miejsciny Palma-Nuova, w najpiękniejszy dzień włoskiej wiosny już skwarnej, pod pogodnym niebem, przy słońcu rozpromienionem i jasnym — blisko pięć tysięcy wychodźców dobrowolnych ściskało się, winszowało sobie, śpiewało i płakało.

Wyglądano tylko wieści ostatecznej, stanowczej, od kwatery głównej armii, która była w Karyntyi. Bonaparte znajdował się pomiędzy Sant-Veit i Friesach. Nikt naówczas nie przewidywał, że młody wódz, niemal przerażony swem szczęściem i łatwemi tryumfami, podpisał już ów pięciodniowy rozejm, który był wstępem do mającego się zawrzeć pokoju... pokoju z Austryą, który w zarodzie wszystkie niszczył nadzieje.

Nazajutrz po tym dniu radosnego rozłożenia obozu pod Palma-Nuova, gdy wszyscy spodziewali się rozkazu do wymarszu i posuwania się w głąb kraju, — Bonaparte punkta wstępne pokoju podpisywał w Leoben.

Karol, zrazu niedowierzający, wreszcie dał się upoić tej radości, która go otaczała dokola; nadzieja jest zaraźliwa, jak wszystkie uczucia.

Z chłodniejszą przyszł rozważa, zawiedziony, i, choć nieufny, bronił się marzeniom z obawy nowego zawodu, ale mógłże się oprzeć chórowi tych serc tysięcy, bijących na nutę jedną? uśmiechom jaśniejącym weselem... szalowi, który opanowywał tłumy i rósł, szalowi, który wywalał się z każdą chwilą?

Tchnienie młodości i wiary owiało go znów, jak gdy na siwym leciał do konfederatów..

Nadzieja łączyła wszystkich, podawali sobie ręce, wrzało, krzyczało, śmiało się, wyśpiewywało obozowisko, dzieląc się nędzną strawą, przyprawną... weselem serdecznem... Tłuczono śpleśniałe suchary, spijano wino skwaśniałe, łątano mundury odarte, zszywano buty poszarpane... zawiązywano rany świeże... i cieszone się jednym... Idziemy, idziemy do Polski...

W starej katedrze miasteczka kilku posiwiiałych barszczan uklękło się modlić, przepojonych weselem, prosząc Boga, by odwrócił od nich nowy kielich goryczy...

Kościół był odwieczny, mroczny, ciemny w południe, milczący... z dala od obozu i miasteczka do chodził doń gwar wesoły tego ludzkiego mrowia, co się u stóp wzgórza rozłożyło...

Jedna lampa paliła się przed starym giottowskim obrazem N. Panny z twarzą smętną i litościwą... przypominającą Częstochowską Bogarodnicę...

U stóp ołtarza na klęczkach, po dwóch stronach, modliło się dwóch żołnierzy, z siwiejącymi głowami...

Modlitwa ich szła do tej Matki Miłosierdzia, do której od dzieciństwa zwracać się byli nawykli. Nie dla siebie i nie za siebie slali prośby do Orędowniczki; u ołtarza przytomnym, jak we śnie, był kraj, młodość, dom, rodzina żywych i umarłych... I modlitwa ona serdeczna tężała na wargach, a myśl leciała na szare pola nasze i... płakała u mogił dziadowskich... To znów wracała szeptem cichym i snula się nicią złotą ku niebiosom...

W kościele nie było nikogo, pusto i smutno... klęczeli tak długo... aż wstał jeden i drugi, spojrzeli na siebie... podali sobie dłonie, choć nieznani... Oba mieli wiek prawie jeden i twarz spracowaną trudem

dlugim, którą mrok kościoła okrył bladością, a smutkiem wspomnienia modlitewne...

I wyszli tak na próg, nie mówiąc nic... aż gdy stanęli na jakimś głazie grobowym za kruchtą, spojrzeli sobie w oczy znów...

— Bracie — odezwał się jeden — Bóg widzi, myśmy się już gdzieś widzieli na świecie, nie obcy jesteśmy sobie... tyś...

— Jestem Karol Pluta — rzekł drugi — niegdyś konfederat barski, potem towarzysz Pułaskiego w Ameryce...

— O mój Boże, tyś Pluta — przerwał drugi — ja jestem Darewski... i ja w barskiej byłem potrzebie.. ale mogliśmy się poznać? tyle lat!...

— I tyle strat i tyle żałoby... — dodał Karol a no dziś! wskazał ręką na obóz pod miasteczkiem, który z góry, jak na dłoni, widać było... a no dziś... świecą nadzieje!

Darewski spojrzal nań i ręką zamiast ku obozowi, zwrócił do posępnego wnętrza kościoła.

— Tam — rzekł — a nie tu... przyjacielu a towarzysz — szepnął, biorąc go pod rękę i zwołna ciągnąc napowrót do obozu... — nam sobie dwom tylko powiedzieć to wolno, bo serca nie odbierzemy, mówiąc prawdę... Nie łudźmy się, ale ufajmy Bogu...

Trzeba było legii, aby przeciw śmierci zaprotestowały, lecz zginą tysiące, zmarnieją poświęcenia, dorobimy się tylko łachmana sławy może, której nam dzieje zaprzeczają... i mogiły pod Włoch niebem z cyprysami...

Darewski westchnął.

— Mój Boże! — odezwał się Karol — są to myśli i uczucia, z którymi ja szedłem także, wyznam wam jednak, że od Mantui ogarnięty powszechnym szaleństwem, sam sobie wyrzucać począłem niedowiarstwo moje. Widok obozu uniósł mnie, o smutku kazał zapomnieć... nakarmił...

— Należała się wam — odrzekł Darewski — ta nagroda, choć chwilowa... Bliżej byłem ludzi i okoliczności, co stworzyły legiony, od was, którzy dopiero przybywacie, głębiej zająrzałem w tajemnicę tego związku... Nie łudźmy się, legie zostały nam dozwolone, są tolerowane, dobijają się i dobijają szacunku... lecz...

— Rzeczpospolita francuska wyrzekła uroczyscie — przerwał Karol — iż pomoc jest winna.

— Tak — zawołał Darewski — powiedziała to w chwili gorączki, z której powoli ostygają... im szczęśliwszą będzie, im świetniej tryumfującą, tem my mniej na nią liczyć możemy... Powodzenie uczyni ją bojaźliwą, zwycięstwa zrobią ostrożną, wyczerpanie się zmusi do egoizmu... Już dziś rzeczpospolita daleko odeszła od tego kresu, na którym stojąc, świat odrodzić obiecywała... Któż przewidzi czem skończy?

Jesteśmy w ręku Francyi narzędziem, postrachem, groźbą i pozostaniemy długo tylko.. narzędziem.

Smutnie puszczają głowy.

Przyszliśmy jednak oba — rzekł Karol...

I oba dotrywamy, bo tu idzie w przekonaniu mojem — dolożył Darewski — o sławę dawną oręża polskiego, o rozgłos imienia, o życia naszego światectwo. Manifestujemy się, jak niegdyś po Grodach, ażeby przedawnienia nie dopuścić.

Słońce zniżalo się, gdy tak powolnie rozmawiając, zbliżać się zaczęli ku obozowi. Karol stanął i patrzył...

— A! nie jest-że to — rzekł — widok, któryby najzimniej ze... mógł rozgrzać człowieka? tych kilka tysięcy ludzi, co porzucili wszystko i poszli tulać się. Pomiędzy nimi od dziecka do starca, od bogacza do nędzarza... masz wszystkich... najsłynniejsze imiona i ci, co żadnych nie mają, nasze pocziwe Maćki obok Sułkowskich, Wielhorskich, Potockich... wszystka nędza nasza...

Rozmowa zesła na obu przygody z Kosciuszkowskią wojny, na towarzyszków, losy i wypadki krajowe...

Zdala coraz głośniejsza dolatywała ich wrzawa obozu.

Darewski, nim don doszli, krzyżem w powietrzu go pobłogosławił.

— Dajże Panie Boże — odezwał się — aby, jeśli nie radość dzisiejsza, to zgoda i miłość, jaka żyjemy jeszcze... trwały i krzepiły się... Dla moich starych przyjaciół już zarody tego, co w każdym człowieku siedzieć musi, a co nieszczęście rozwija — zarody wani i nieufności... są niestety — ań nadto widoczne... Dąbrowski ma nieprzyjaciół, znajdzie ich każdy, co stopień otrzyma, co się odznaczy i wypłynie. Lada niepowodzenie i klęka... pocniemy bóg z samymi sobą... *quod Deus avertat!*

— O! ja tak źle nie wróżę! — odezwał się Karol...

— A jabym własną mą wróżbę rad odmodlić — kończył Darewski — a nie mogę... Dławi mnie ta nieunikniona przyszłość. Może być inaczej z naszymi sercami, przepojonemi goryczą taką, narażone mi na tak ciężkie próby.

Tak zesłi pośród ognisk i żołnierzy, którzy siw w wasy witali po wojskowemu... Wiara śpiewała jeszcze, a już kilka niespokojnych, smętniejszych twarzy starszyny przesuwalo się, jakby z przeczuciem jakiegoś odczarowania i zawodu...

Po tej rozmowie, bardziej niż kiedy, postanowił trwać w swej myśli Karol, ażeby o żadną ranę i stopień nie dobijać się w wojsku, pozostając w niem prostym ochotnikiem a żołnierzem. Zdawało mu się, iż powinien dla przykładu drugich i dla własnego sumienia wstąpić do legii, jako szeregowy...

służyć o własnym koszcie i nie cisnąć się tam, gdzie był może brak zdolnych oficerów, ale nie zbywało na roszczeniach sobie do dowództwa prawa.

Darewski, wracając z tej przechadzki, zaprowadził go i przedstawił Dąbrowskiemu, jako towarzysza Pułaskiego i Kościuszki. — Jenerał słyszał już o jego przybyciu, wiedział o przeszłości; spotykali się też kilkakroć przed bitwą Maciejowicką, gdy Pluta wysyłany był z rozkazami po kraju...

Przyjazd Karola, którego witał uprzejmie, stawiał wszakże Dąbrowskiego w położeniu dosyć przykrem; zasługi starego żołnierza, stopień, jaki zajmował, zmuszały niemal do odpowiedniego im umieszczenia w legionach... a wyższe stanowiska już wszyskcie były poobsadzone... Z twarzy zakłopotanej ławtwo było wyczytać, iż nie wiedział jeszcze, co pocznie z przybyszem pożądanym, a — jak mu się zdawało — do zaspokojenia trudnym.

Prędko jednak Pluta wywiódł go z tego frasunku, oświadczając na wstępie, że przybywa z prośbą, aby mógł służyć, jako prosty grenadyer... ochotnik o koszcie własnym... Lice Dąbrowskiego rozjaśniło się, odetchnął wolniej i serdeczniej jeszcze uściśkał pocziwego Plutę.

Dla przyzwoitości tylko spróbował się nieco jego postanowieniu sprzeciwić, lecz niezmiernie łatwo uległ stanowczemu oświadczeniu konfederata, iż żadnego stopnia nie przyjmie.

Darewski nazwał to żartobliwie dumą, Karol tłumaczył się ślubem uczynionym, Dąbrowski milczał, lecz znać było, że mu wielki ciężar z bark spadał. Codziennie biedny miał z tyłą miłości własnych do walczenia, żadnej nie mogąc zaspokoić, wszystkim zmuszony się narazić! Jakże drogim wydawał mu się ten człowiek, który z niej dobrowolną czynił ofiarę!

Pogłoska o starym konfederacie, który stawał w szeregu grenadyerów, rozeszła się po obozie i dała naturalnie powód do rozlicznych tłumaczeń. Większość widziała w tem pewną dumę, jakby wyrzut gorzki tym, co się tak ubiegali za szlifami; jakby naukę daną młodszym, aby nie zapominali o celu i zadaniu tej falangi wybawczej!

Karol, w prostocie ducha, wcale nie miał zamiaru narażenia się towarzyszom, nie domyślał się, dla czego koso nań nieco spoglądano; zyskiwał w ten sposób swobodę, odpowiadając sam za siebie tylko i w legionach pozostając, jak był starym barskim konfederatem.

Nagle wśród tego wesela złowrogo smutne ukazują się twarze, chmurne czoła, milczące usta, ludzie jakby z politowaniem patrzący i rezygnacyą, na szczęśliwych. Ale nikt jeszcze nie śmie wyrzec słowa, co — resztę nadziei ma odebrać.

Cicho tylko starszyzna osłupiała szepce między sobą: — Bonaparte zawarł pokój z Austryą.

Jeszcze nie dają jej wiary, ale na ucho podawana wiadomość szerzy się i odbiera wesele, maluje się w obliczach, odgaduje z oczów... Gdzieniegdzie w kupki zebrani gwarzą o niej tajemniczo oficerowie... domyślają się żołnierze... śpiewy ustają powoli... Zamieszanie i niepokój się szerzy, rośnie, wzmagą. Oficerowie biegną do dowodzącego, żołnierze wstrzymują oficerów i badają, gdzieniegdzie słychać przekleństwa i wykrzyki... i znów martwa po nich cisza...

Kwaterna jenerała jak w oblężeniu, wchodzi do niej i wybiegają, on sam jeszcze niepewny, zaledwie się głucho o pokoju dowiedział, stoi blady, nie rozumie spełna, co to znaczyć może... Na pytania natarczywe odpowiada ruszeniem ramion i półsłowami... po tylu zwycięztwach to powstrzymanie się na

pół drogi?... szemrzą... nikt sobie wytłomaczyć go nie umie.

Po obozie leci już druga wiadomość, potwierdzająca pierwszą, że wojska cofać się zaczęły z posiadłości Austrii.

Po wczorajszym w selu... zamęt, tem straszniejszy, tem gwałtowniejszy, iż wprost żarzące płomie zalano... Wrzawa szumi, rozpacz, gniew, przekleństwa... legionieści rzucają broń... padają bezsilni na ziemię...

I pod noc cisza grobowa... złowroga, zalega hałaśliwe wczora obozowisko. Straszna rzeczywistość zajrzała w oczy zrozpaczonym...

Już późno ktoś z kwatery generała przyniósł wieść, że Dąbrowski wybierał się do Bonapartego, stojącego w Grätzu, dla rozmówienia o dalszych legionów losach... inni przyszli, potwierdzając ją że go odjeżdżającego widzieli.

Tak przeszła noc, a rano oświecił blade i smutne twarze. Z dnia na dzień zmieniło się obozowisko, nadewszystko żołnierz był nie do poznania, odjęto mu siłę, ochotę, zapal, biorąc nadzieję... leżał znękany i osłabły na ziemi. Razem z innymi Karol także leżał pod murem, ze spuszczoną głową na pierś, on może mniej czuł to przejście z zapalu do rozpacz, bo nie poślubił przesadzonych nadziei... ale boleść towarzyszków w nim się odbiła.

Milczący spoczywał tak, gdy nad sobą głos usłyszał.

— Niech będzie pochwalony!

Siwe wąsy Darewskiego zobaczył, podnosząc oczy.

— Na wieki! — rzekł — jak się macie?

Popatrzyli na siebie milczący chwilę.

— A co — szepnął Darewski — aż nadto prędko ziściła się przepowiednia moja... Wiecie?

— Słyszałem...

— Pokój zawarty... Idziemy uśmierzać Włochy i fundować nowe rzeczypospolite, które wprędce przedzierzną się w tyleż królestw... Co wy na to?

— Wola Boża!...

— Dąbrowski pojechał do Grätzu! żołnierz upadł na duchu...

Potrzęśli głowami, podali sobie dłonie...

-- A iść potrzeba -- dodał stary Darewski -- iść potrzeba... *Usque ad finem.*

Wieczorem już ani o pokoju, ani o odwróceniu wojsk najmniejszej nie było wątpliwości... a słaba, słaba nadzieja, ażeby Dąbrowski przywiózł dla legii pociechę...

Ci, co uparcie trzymali się wymarzonych nadziei, w dni kilka rzucić je przed rzeczywistością musieli, na dziś wszystko było stracone, przyszło, znowu wracała mroczna, niepewna, smutna, jak była.

Mimo szemrań pojedynczych... legia w milczeniu zwinęła się posłuszna i za rozkazem naczelnego wodza, zaczęła się ku Trewizie posuwać.

Ale ten pochód nowy jakże się wielce różnił od owego weselnego z Mantui do Palma Nuova! twarze, i serca, i postawy i myśli były inne. W szeregach, idąc, wzdychano i szemrano...

Jeśli kilku starszyzny znów weselszemi twarzami dodawało ochoty, żołnierz prawie wszystek szedł smutny, przybity, bezmyślny. W chwili walki rozpacz rozbudzała męstwo, a raczej wściekłość, ale boju tego nikt nie rozumiał, nie pragnął, czuł każdy, że on do niczego nie prowadził... Zwątpienie było straszne i ogólne.

Rozdrażniony Michał Ogiński, gdy mu w Paryżu Karol de la Croix podszeptował, aby w Galicyi zrobiono powstanie, obiecując glucho poparcie rzeczypospolitej — odparł z gniewem, iż Francya myśli

tylko o własnych korzyściach, o wyzyskaniu niedoli dla siebie... Toż samo powtarzało się w obozie przy kotłach co chwila...

— Francyi przydatna — szemrali żołnierze...

Ale tym naszym, którzy nie mieli dokąd powrócić, bo ich dom był zaparty, nie pozostawało nic prócz rozpaczliwej walki bez celu i szukania śmierci w szeregach, do których się zaciągali.

Szli też z uczuciem obojętności i wzgardy niemal, gdzie im iść wskazano.

A nie oszczędzano ich wcale.

Najtrudniejsze do spełnienia prace na ich część zrzucono... zwykle słano Polaków na uśmierzanie zbuntowanych miasteczek, na zburzone kupy zbrojnego ludu, na robienie wyłomów, aby niemi bezpieczniej szedł potem żołnierz francuski...

W dyrektoryacie, w radach starszyny uśmiechano się ze złudzeń marzycieli... ale podkarmiano je ciągle...

Bonaparte, widząc na twarzy Dąbrowskiego twogę, zwątpienie, boleść, odprawił go ogólnemi wyrazy, że należy mieć cierpliwość, wytrwanie, że wielkie dzieła nie dokonywają się w dniach niewielu, że gdy sprzyjające nadejdą okoliczności, Francya i t. d. i t. d.

Dzieje legionów są świetną zaprawdę kartą dla polskiego oręża, ale jak bolesną dla serca polskiego... Niedoleźstwo nasze polityczne posuwa się tuż aż do ślepoty... heroizm żołnierza nie rozgrzesza dobroduszości wodzów.

Giną tysiące, gromadzą się nowe; nadzieje ulatują, rodzą się z nich młode... ufności nie ma końca, a Rzeczpospolita zwycięzka, oddając sprawiedliwość męztwu... nagradza je — oklaskiem...

Ta jedna karta, obóz pod Palma-Nuova, jest zmniejszonym obrazem całych dziejów legii naszych—

jeden dzień nadziei, przecinający długi szereg dni rozpacz. — Wysiłki ciągną się lat kilka, wycieńczają i żywią, opór nasz równa się obojętności Francyi.

Tę drogę poświęceń daremnych wyściełamy całą grobami mężnych żołnierzy — zapiaconych gałązką wawrzynu i — zapomnieniem.

Już po zawodzie, doznanym przez zawarcie traktatu w Leoben przybywają nowe sily, Białowiejski prowadzi tysiąc ludzi, legie organizują się na nowo...

Obok idei stworzenia sily zbrojnej polskiej za granicą, rodzi się druga dopełniająca ją, wskrzeszenia sejmu i władzy prawodawczej. Myśl tę kilka pocziwych serc a zapalonych głów przyjmuje z uniesieniem...

Myśl ta odżywia zamarle legionów życie, nadaje im nowe znaczenie, nie będą osamotnione na łasce obcych.

Wybicki, Barss, Prozor, Wojczyński, Kochanowski... zelektryzowani tą myślą, poruszają się, dzieła pracą, biegną.

Ale tu powtarza się właściwe naszym losom rozwiązanie... narady odbywały się głośno, powiernikami byli niemal chłopcy uliczni, zaufanie nasze nie znalazło granic... wieść o wysłańcach do Polski wyprzedza ich... na granicy czekają zaczajone straże... a osnute plany wpadają w zastawione sidła...

A falanga przyszłych wybawicieli występuje się tymczasem Francyi, idzie gdzie najtwardsze węzły bojem i krwią rozwiązywać potrzeba.

Dzisiaj uspokajają Reggio, jutro do Bolonii ich gnają, dalej do Mestre, do Wenecyi, bo i Wenecya się burzy sil resztkami.

Biją się i przypominają codzien: — Myślcie o nas! a za każdym razem uczą ich cierpliwości, zagrzewają do wytrwania... Bonaparte ma ważniejsze do spełnienia dzieła — czekajcie!

Łoś wszystkich był Karola łosem; pochód nużący, walka bez myśli i celu, dziś rany, jutro szpital, i znów wyprawa i nieustanna włóczęga. Walka ze zburzonym ludem, z umysłami, z wydzierającą się obcemu panowaniu i narzucanej wolności Italią... Ani chwili spokoju, ani godziny ośłody, ani kropli pociechy.

Z monotonią buletynów wojskowych powtarzają się te dzieje zawsze jedne - głód, chłód, nędza, rany, mierać... i godzina czasem wieczorem u ogniska cichej rozmowy o kraju, lub piosnka, co serce odżywi...

Rok upłynął od tego błysku nadziei pod Palma-Nuova.

W życiu naszego tulacza nic się nie zmieniło; przybyło mu nie dobrze zagojonych ran kilka... Był to teraz żołnierz twardy, milczący, zahartowany, na którego ustach uśmiech zjawiał się rzadko, słowo z nich płynęło trudno ale do boju szedł chłodny, nieustraszony, z odwagą niedorównaną, z okiem i instynktem starego wiarusa, co jasno widziały tam, gdzie drudzy nic dojrzeć nie mogli.

Z tylu bitew tak różnych wyniósł on to doświadczenie, które się nabywa tylko lat i krwi kosztem, przecucie położenia, co samo nie wiedząc czemu, z oznak niedostrzeżonych ludziom nowym wie, jaki los dzień czeka poczęty i czym ma zamknąć się walka.

Z tego milczącego, stwardniałego wiarusa trudno było dobyć słowo, ale dowódcy i żołnierze nawykli byli nań patrzeć i czytać na jego twarzy. Jeśli tępo szedł a ostro patrzył, sprawa się wróżyła trudną, jeśli chyżo pędził, pewne było zwycięstwo, jeśli na rozkaz wodza oglądał się, jakby z powątpiewaniem, radząc mu się rozmyśleć—najstarsi nawet, najwytrawniejsi: Dąbrowski, Kniażewicz, Kosiński, Wiel-

horski, nie pytając go, spoglądali nań, gdzie stał w szeregu, jako żołnierz prosty, a twarz jego była i im nieraz radą i przestrogą... Współtowarzysze otaczali go tą czią cichą, która przystała cnocie skromnej.

Twarz ta, która wszystkich zwracała oczy, czarna była, spalona, wczesnemi poorana marszczkami, stara, z czołem dawno obnażonem z włosów; przecież gorzała jakimś ogniem młodości, który żył, czyste zachował w nim cudownie.

Lacedemońska życia prostota dawała mu się niezmierną, wytrzymał łatwiej niż drudzy dzień bez posiłku, kilka nocy bez snu i spoczynku, rzadko skosztował wina, często samą wodą pragnienie koł. głód chlebem suchym.

Potęga ducha łatwem czyniła nad ciałem zwycięstwo; dziwili mu się jedni, obawiali drudzy, młodzież starała się mu sprostać.

Różnił się wiele Karol od ludzi tej epoki i otoczenia swojego. Wszyscy niemal, od żołnierza do wodza, byli to ludzie poświęcenia bezbrzecznego, zacności wielkiej, ale prostoty, naiwności, łatwowierności niemal dziecinnej. Ze smutków do wesela, od nadziei do rozpacz przejscie dla nich było tak łatwem... iż niejeden dzień, piosnką zaczęty, jękiem się zamykał.

Było w nich to, co się spotyka w każdym żołnierzu, niosącym co dzień życie na ofiarę—laknienie rozrywki, rozbijanie serdeczne, ochota do szarów chwilowych, wynagradzających upojeniem ciężkie żywota powszechnego trudy.

Dnie też te pochodów, po za którymi nic wiadać nie było, oprócz długiego szeregu podobnych im dni bez końca... kończyły się często hulanką, butelką, wrzawą, lub temi lekkimi miłostki wędrownemi, z których zeschły kwiatek i tęskne wspomnienie unosil wiarus w tornistrze do domu lub grobu. Karol

pędził wieczory z nimi, ale milczący jak posąg Komandora, sparty gdzieś na stole, nieruchomy, podziwiając wesołe zabawy...

Raził go ten duch, który powoli owiewał szeregi, wynarodawiający nas z obyczajów powagi pełnych... Milczeniem... smutkiem, surowością swoją protestował wiarus przeciw młodzieży, która francuziała.

Nie mówiąc słowa, stawał im przed oczyma jak wyrzut, jak wcielona wymówka, jak przypomnienie starych dziejów, do których należał.

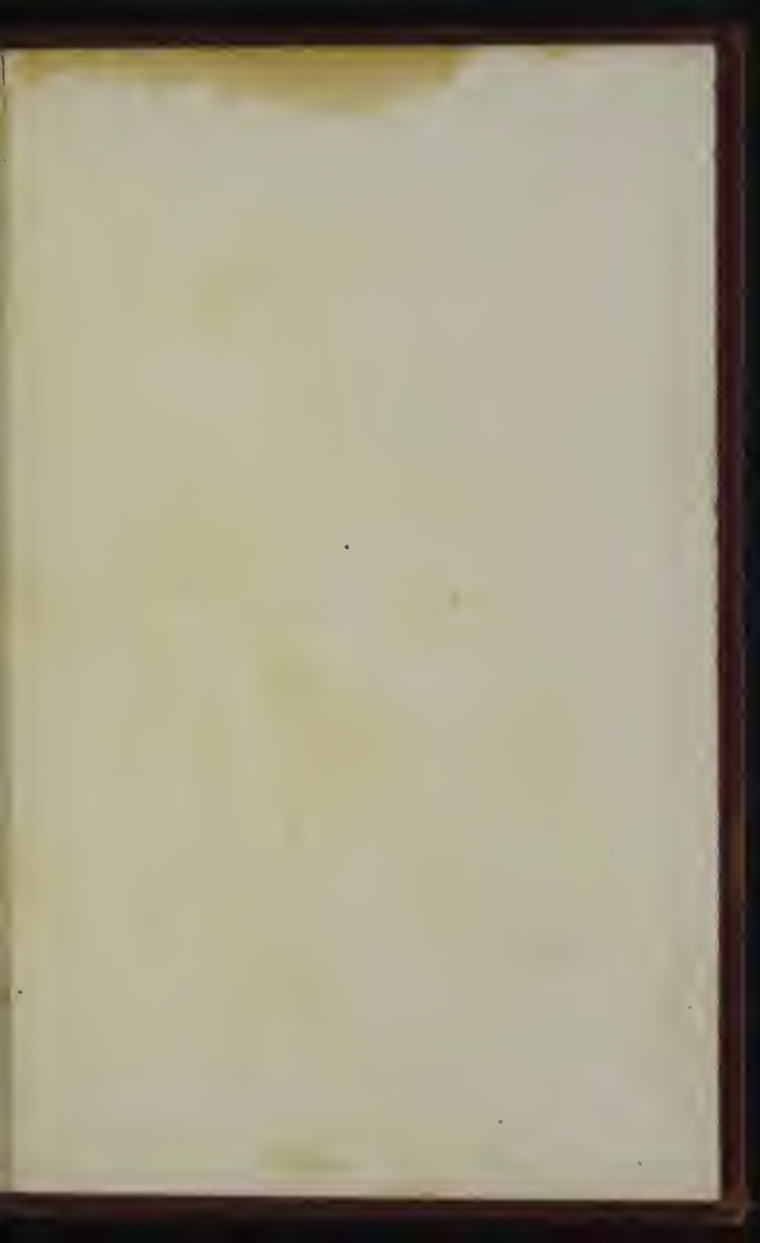
Ale mógłże inaczej ich nawracać, jak postawą i czynem?

Czasem znów litość go brała, uśmiechał się swawoli niewinnej, mówiąc w duszy: — Godziż się im mieć za złe, że wigilię ofiary obchodzą piosnką i weselem?









Biblioteka Raczyńskich

JK 430



JK0430